№ 48 Warszawa, dnia 15 (27) Listopada 1880 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

MIRELLA.

POEMAT Z ŻYCIA LUDU.

Fryderyka Mistral.

przez

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg).

W chacie Ramona, pojawia się trzeci zalotnik; jest nim Urrias, pastuch bydła. Przybywa z małej Kamargi, ojczyzny czarnych wolców.

Pod skwarem słońca, czy w mróz zimowy,
Czy wskróś jesienną przemokły słotą,
Wytrwały pasterz nie pyta o to,
Dzień w dzień na stepie pasie swe krowy.
Zrodzon w oborze z bydłem pospołu,
Oko ma dzikie, postawę hardą,
Kark ma szeroki, istny kark wołu,
Zgorzałą cerę i duszę hardą,
Posępne czoło wciąż chmura słoni,
Drąg do żylastej przyrosł mu dłoni,
Ileż on razy, człek bez litości,
Oderwie cielę od matki łona,
Grzbiet jej obuchem zsiecze do kości,
Aż w las popędzi z bólu szalona,
I łeb nad młode podniesie sosny,
I ku cielątku śle ryk żałosny!

Dziki ten pastuch ma na czole głęboką szramę; rozdarł ją buhaj, gdy zuchwalec schwycił go za rogi i powalił na ziemię. Urrias przybywa w zaloty konno, w ręku ma kij zakończony ostrym trójzębem. Mirella odrzuca go jak odrzuciła innych, ale patrząc na szpetną jego postać; uśmiecha się szyderczo, złośliwy żart wybiega z ust dziewczyny. Zrozumiał pastuch rzecz całą: widział on młodego koszykarza, jak krążył w cieniu olch nad potokiem.

Ona go kocha! pomyślał, biada mu jeśli popadnie w ręce moje!

Ze wstydem na czole, z oczyma zabiegłemi krwią, Urrias wraca na Kamargę. Pędzi w cwał, przeżuwa w duszy zniewagę odebraną, przeklina kamienie po drodze, zaciśniętą pięść wymierza przeciw słońcu. Tąż samą drogą śpieszy ku wsi dorodny koszykarz. Stąpa leciuchno bosą nogą. Lica jego rozpromienione szczęściem, snać w duszy mu dzwonią słowa Mirelli, zasłyszane niedawno w cieniu morwów.

Urrias ryknął wściekły z gniewu; rzuca na chłopca gradem obelg, płochem słowem znieważa Mirellę. Młody Witek zatrząsł się cały, palącemi wyrazy odpiera każdy pocisk. Rosły pastuch zeskoczy wreszcie z konia. Jak dwa rozżarte buchaje uderzają obaj na siebie; ręce ich splotły się jak węże, pierś przyparta do piersi, krew kipi w rozdętych żyłach, pot ścieka z lic i czoła.

Odskoczą w tył, zaczerpną tchu i znów pędzą ku sobie, walą się pięścią, kąsają zębami szarpią ciało paznokciem; wreszcie krzepki pastuch schwyci wpół koszykarza, przerzuca go przez ramię jak snop zboża na polu. Pogląda nań z tryumfem. Ale dziarski młodzian zrywa się na nogi, rzuca na przeciwnika, godzi w pierś kułakiem, powala go na ziemię, przyciska nogą, chwyta za gardziel; krew z piersi pastucha żygnęła czarną strugą. Witek puszcza ofiarę.

— Idź rzecze, ukryj hańbę pomiędzy bydłem twojem!

Urrias odbiega z klątwą na ustach, i oto myśl zdradziecka przebiega mu przez głowę. Podnosi drąg zakończony trójzębem, wraca na pole walki, już nie jako zapaśnik, ale jako morderca. Poskoczy nagle do Witka, wpycha mu w piersi twardy oszczep. Krew zbroczyła murawę. Nikczemnik dosiada konia, w lot strzały pomyka doliną, parsknął szatańskim śmiechem.

— Cieszcie się wilcy, zawoła, będziecie mieć biesiadę!

Przypadł cwałem nad łąkę Rodanu. Słońce zaszło... noc czarna... widzi u brzegu łódkę, a na niej trzech rybaków.

— Hej rybacy! zakrzyknie; chcecież przeprawić mnie z klaczą moją?

— Siadaj! odpowie głos jakiś wśród ciemności.

Urrias siada, trzyma w ręku rzemienną uzdę; klacz płynie wślad za łodzią. Ale cóż to?... łódź pochyla się, zanurza coraz głębiej... deski klekocą, woda napływa przez szczeliny.

— Przewozim zły jakiś ładunek! pomruknie sternik, i roześmiał się szyderczo. Ale cóż to? łódź tonie, a przewoźnicy tak spokojni? Urrias blady jak trup, czuje nad sobą rękę Bożą

— Tyś zabił kogoś nikczemniku! zawołał sternik a przecież ani on, ani towarzysze nie troszczą się o łódź, nie wiosłują do brzega. Niezwykły też to sternik, i niezwykli rybacy!

Tu poeta podejmuje legendę nad Rodanem. To właśnie noc ś-go Medarda, w tę noc topielcy wypływają z głębi wód, powracają na ziemski padół. Przewoźnicy a raczej duchy które przybrały ich postać, ukazują owych topielców struchlałemu z trwogi Urriasowi:

Otóż i oni, fale ich niosą,
Tłumnie w zmąconym pląsają wirze,
Dobrnęli brzegu, już nogą bosą
Ścicha do góry idą po zwirze,
Zdarta ich odzierz, woda powoli
Z włosów na sine spływa im lice,
Ciągną szeregiem w cieniu topoli,
Jasne w ich ręku płoną gromnice.

W gwiazdy smętnemi spojrzą oczyma,
Wilgotny piasek więzi im nogi,
Żadna ich na dnie moc nie zatrzyma.
Tłumnie się łączą w orszak złowrogi,
Oni to silniej stokroć niż burza,
Rozbitą łódkę prą na dno fali,
Coraz to bardziej w głąb się zanurza,
Już jej od zguby nic nie ocali.

Tłumy topielców rosną a rosną,
W okół zaległy zielone błonie,
Chłoną powietrze piersią radosną,
Piją z rozkoszą swojskich ziół wonie,
Woda kroplami z szat ich wciąż spada,
Aż się potoczył strumień za niemi,
Coraz liczniejsza duchów gromada,
Stopami drogiej dotyka ziemi.

Są tam i starce z długą w pas brodą,
I dziarska młodzież, i drobna dziatwa;
Ciało od kości spadło pod wodą,
Z lic ich rozpoznać rzecz to niełatwa,
Są między nimi śmiałe rybaki,
Ten, ów, do wędy rwał się ochoczy,
Łowił okunie, łapał szczupaki,
One mu wzajem wyżarły oczy.

Opodal suną bieluchne roje,
Ledwie tchną ziemi powiewnem ciałem,
Ach! to urocze niegdyś dziewoje,
Otumanione miłości szałem.
Świat je zatrzymał w żartkiej pogoni,
Za marą szczęścia w duszy wyśnioną,
I cichy Rodan w głębokiej toni,
Ukoił boleść ich niezleczoną.

Umarli suną w głębokiej ciszy,
Gromnice dłońmi niosą trupiemi;
Muchę w przelocie ucho posłyszy,
Czegóż im jeszcze trzeba od ziemi?
Za czemże wzrokiem gonią w noc czarną,
Skoro już przeszli wieczności wrota?
Patrzą czy wschodzi na roli ziarno,
Które posieli za dni żywota.

A kto posiewał trujące jady,
Zawzięcie prawo pogwałcał Boże,
Kto się dopuszczał mordów i zdrady,
Głowy z odmętu dźwignąć nie może.
Zaczem jutrzenka błyśnie z pomroczy,
Straszna go na dno pochłonie rzeka,
Żarłoczny robak ciało mu stoczy,
Szczęśliwszej doli próżno tam czeka.

Gdzie bądź się zwróci pędzony trwogą,
Szałem rozpaczy karmion do sytu,
O skały bosą potrąci nogą,
Uderzy czołem o złom granitu.
Zkądże te skały głucho tam sterczą,
Z czego zrodzone w otchłaniach nocy?
Ze krwi stoczonej ręką morderczą,
Z łez pokrzywdzonych, z klątwy sierocej.

Próżno zbawczego szukać mu ziarna,
Coby go z grzesznej obmyło skazy,
W głębi odmętu noc taka czarna,
W okół potworne jeżą się głazy.
Próżno błagalne wznosi ramiona,
Woła ku niebu głosem rozpaczy,
Jęk z szumem fali w powietrzu skona,
Potępionemu Bóg nie przebaczy!

Tak pogwarzają duchy topielców. Urrias pochwyca za wiosło, pcha gwałtem łódź do brzega. Daremne wysiłki! łódź zanurza się coraz to głębiej. Wody Rodanu pochłaniają mordercę.

Podczas gdy zbrodniarz pociągnięty na dno rzeki odnosi słuszną karę za morderstwo, biedny Witek z piersią przebitą, leży pół żywy na łące, tuż po za wsią gdzie mieszka Mirella. Brzask zaświtał, nagle powstaje gwar, trzej wieśniacy wracają z targu.

— Czy słyszycie, rzecze z nich jeden, ktoś jęczy w pośród wrzosów!

Stają przerażeni, kładą znak krzyża na czoło i ramiona, zbliżają się ku miejscu zkąd dobiega ten jęk żałosny. Spostrzegają chłopca, leży obrócony ku ziemi twarzą, koszula na nim zdarta, krew z rany toczy się strumieniem. Podejmują go, niosą do wioski, składają go w chacie ojca Ramona.

Mirella posłyszała wrzawę.. przybiega z ogrodu, poznaje Witka!... Zalana łzami opatruje mu ranę. Chłopiec otworzył oczy, pogląda na nią słodko.

Rana głęboka; nie pomogą choremu zwykłe leki. Wieśniacy składają naradę, niosą Witka do starej znachorki co mieszka opodal wsi w parowie. Mirella idzie z nimi. Zstępują w głąb pieczary, zarosłej w górze rozmarynem. Stara Tewen siedzi schylona przy ognisku, warzy w kociołku czartobyl; schrzypłym głosem nuci piosenkę:

Wątły kwiateczku, drobne ty ziele,
W polu, na łąkach, wszędy cię wiele,
Kwitniesz bez słonka, wschodzisz bez rosy,
Żrą cię bydlęta, człek stopą gniecie,
A ty bujnemi wyrastasz kłosy,
Zimą i latem, biedny ty kwiecie!

W jaskini łażą ślimaki, siedmiu czarnych kotów połyska ślepiem, na ścianie wisi rzeszoto, na ożogu siedzi czarna wrona; biała kura gdacze na śmietniku. Znachorka zażegnała ranę; Witek uzdrowiony pośpiesza do starego ojca, Mirelka wraca do rodzicielskiej chaty.

(d. c. n.)

Z PRZESZŁOŚCI.

Do . . . . . .

I.

Pamiętasz świetlana, kolumny kwitnące,
Stubarwne, stukształtne, a chwiejne, a wonne,
I wachlarz motyli je muska i lśniące
Drżą muszki, w rozpękłe kielichy wplecione...

Z pod krzewu, z pod liścia cienistej opony
Wiatr wymknie, rozbuja gałązki i kwiaty,
I muśnie po twarzy, aż wonią spojony,
W półsenno się skłoni na lilje, bławaty.

I cisza znów w koło... U bzowej altany,
Uwitej powojem, winogron łozami,
Przewija się strumyk błękitno-źródlany,
I płacze fontanna łez chłodnych strugami—
I gną się zielone, rozkwitłe bzów ściany
Pod ptasząt pełnemi szczebiotu gniazdkami.

* * *

Pamiętasz, świetlana, te nasze ogrody,
Bez blasków słonecznych, aleje jak lasy,
I słupy ruchome rozbitej w pył wody—
I miękko usłane, kwieciste tarasy...

* * *

Pamiętasz—o zmroku, ulane z mgły sztory,
I leśne ustronia w obrębie promenad—
Pamiętasz świetlana, te nasze wieczory,
I śpiewne, wpółsenne akordy serenad.

To ciche, jak wiatru w eterze fal szmery,
Jak szepty nieśmiałe stęsknionych sułtanek,
Jak szum co wydają powiewne szpalery,
Jak gwary w podwodnych dworcach świtezianek.

Lecz oto te szmery, półtony, półdźwięki,
Tak gibkie tak rzutkie, jak pierś rozkochana—
Zlewają się zwolna w akordy piosenki,
I w końcu grzmią niby fala rozhukana
To znowu tęsknoty wydają rozdźwięki...
Pamiętasz czar nocnych serenad, świetlana?..

* * *

Pamiętasz, świetlana, te północy święto,
Te biało spowite lasy i doliny
I szklistą sukienkę nad wodą rozpiętą,
I w słońcu iskrzące śród bieli rubiny.

Choć drzemią ogrody, choć znikły kwietniki,
Werandy balkonów i zżółkły i zbladły,
Nie nucą ukryte w topolach słowiki,
Bo strony cieplejsze ich sobie rozkradły,

A jednak, a jednak—pamiętasz—bywało
Jak lekko, jak prędko w noc chłodną sankami—
Pływaliśmy zda się tą krynicą białą,
A druga—powietrzna mroziła ustami,
A trzecia w oszklone stroiła się ciało,
A czwarta, błękitna—błyszczała gwiazdami!

* * *

A i tu, świat piękny, a i tu rankami
Natura swe cuda w obrazy skrysztala,
A jednak dlaczego ma myśl błękitami
Daleko gdzieś płynie jak eter, jak fala?..

O gdybyś tu była! przed tobą wysoko
W spowiciu śnieżystem gór spałyby głowy,
Pod tobą w półkolu, w dół zwisły głęboko—
Rozkwitałby dolin krajobraz majowy.

O gdybyś tu była! przy mojem ramieniu,
W rozdźwięczne wsłuchana tych gór serenady,
Skąpana w półblasku, skąpana w półcieniu,
Oparta o skalnej podnóże arkady,
Lub przy spadających potoków omgleniu,
Lub u zwierciadlano-tęczowej kaskady!...

Kazimierz Paledzki.

PANI PODKANCLERZYNA.

opowiadanie historyczne

z czasów panowania Jana Kazimierza.

przez

Michała Jezierskiego.

(Dokończenie).

Napad na klasztor Klarytek.

Wściekły i prawie nieprzytomny, wpadł Radziejowski do klasztoru Klarytek. Otworzono mu podwoje, lecz w głąb klasztoru nie chciano go wpuścić, tłomacząc się iż reguła srogo wzbrania wstępu mężczyznom; ale Radziejowski pogroził zburzeniem klasztoru. Strwożone zakonnice nie czyniły dalszego

oporu, wprowadziły go i wskazały celę podkanclerzyny. Pani Radziejowska nagle ujrzawszy męża na progu zadrżała i zbladła, omało nie omdlała z przerażenia, lecz gromki głos męża uderzył w nią jak iskrą elektryczną.

— Wstrząsłem całą ziemią! poruszyłem narody! dla jedynego celu, aby cię odzyskać, aby się zemścić nad tobą, Chmielnicki nauczył jak karać należy niewierne żony, on swoją powiesił, a ja ci żywcem wydrę twe nikczemne serce!

— Daruj mi życie! jęknęła Radziejowska.

— Ja! mam ci darować życie? dziko zaśmiał się Radziejowski, ja! miałbym tobie przebaczyć, gdy dla jednej chwili zemsty poświęciłem kraj własny i zostałem zdrajcą Ojczyzny! Tak! zdrajcą! i to piętno ohydne tyś wycisnęła na mem czole! Krew twoja nie zmaże go, ale przynajmniej ugasi pragnienie które mnie pożera! Chciałem ci zadać sroższe męki, uwięzić, patrzéć się i cieszyć codziennie twą męczarnią, widziéć cię sto razy konającą wśród najokropniejszych katuszy i znów przychodzącą do życia, ale gdy cię ujrzałem już tylko chciałbym najprędzej własną ręką krew twoją wytoczyć! I wyrwał szablę z pochwy.

Radziejowska przerażona padła mu do nóg, wołając:

— Przebacz! największy grzesznik poprawić się może! zaklinam cię na Boga, na dawną miłość twoją! przebacz! daruj mi życie!

— Za wiele poświęciłem za wiele cierpiałem, abym mógł przebaczyć! Kochałem cię kiedyś, wtedy pięknością lica osłaniałaś twą nikczemną duszę, dziś na twej pomarszczonej twarzy wypiętnowały się wszystkie podłe i nizkie żądze, teraz jesteś równie szkaradna na ciele jak na duszy! Brzydzę się tobą! a gdy ten oręż szlachetny splugawi się krwią twoją, precz go od siebie odrzucę, bo i to martwe żelazo będzie już shańbione!

— Zabij lecz nie lżyj! krzyknęła Radziejowska, nie mogąca już dalej znieść obelgi. Wszystko co mówisz jest kłamstwem, podły zdrajco!

Radziejowski trzęsąc się z wściekłości, wzniósł szablę do cięcia, lecz w tejże chwili silna dłoń ujęła jego rękę i oręż z niej wydarła.

Wiemy iż właśnie w tym samym czasie Tyzenhauz spieszył do klasztoru na wezwanie pani Radziejowskiej. Gdy przybył opadły go zakonnice mówiąc z wielkim płaczem, że coś okropnego dziać się musi u pani podkanclerzyny, gdyż mąż rozwścieczony wpadł do jej celi. Tyzenhauz wbiegł w chwili gdy pani Radziejowska miała paść pod mściwym żelazem męża. Radziejowski poznawszy Tyzenhauza, zawołał:

— Ha! to ty nikczemniku włazisz mi jeszcze w drogę! ale twoja kochanka nie ujdzie śmierci i ty zginiesz w najsroższych katuszach! Zamiast jednej będę miał dwie ofiary, wyrwałeś mi oręż, ale czyż nie wiesz zuchwalcze że na mój rozkaz wojsko otoczy klasztor i będziecie moimi więźniami. Nikt ztąd się nie wysunie. Czekajcie mnie niebawem! zawołał i jak szalony wybiegł z celi.

Jednego dworzanina którego był wziął z sobą i który nań czekał u bramy, zostawił tamże z surowym rozkazem aby nie wypuszczał nikogo; sam zaś pospieszył po zbrojny oddział.

Gdy mąż wyszedł z celi, pani Radziejowska ze łzami w oczach rzuciła się w objęcia Tyzenhauza mówiąc:

— Tyś mi ocalił życie!... o jakżem ci wdzięczna!

Tyzenhauz przyklęknął i rzekł:

— Teraz śmiem błagać o nagrodę.

Pani Radziejowska skoczyła do szkatuły przy łóżku stojącej, wyjęła kilka rulonów złota i oddając je rzekła:

— Masz, zasłużyłeś na to wynadgrodzenie.

Tyzenhauz pobladł, wziął złoto w rękę i cisnąwje pod nogi podkanclerzyny zawołał z oburzeniem:

— Odkryłaś mi nizkość twego serca! Złotem tylko płacić umiesz a ja niem pogardzam! Traktujesz mnie jak sługę, nie jak przyjaciela i obrońcę, nierozumiesz uczucia! niepojmujesz ofiary i poświęcenia!

— Nie gniewaj się panie Tyzenhauz, ja cię inaczej wynagrodzę. Ale ratuj mnie! ratuj! bo za godzinę klasztor otoczą, on wróci! i cóż się wtedy ze mną biedną stanie?

Tyzenhauzowi żal się zrobiło zrozpaczonej kobiety, wyszedł, przyrzekając że wnet wróci. Udał się do przełożonej pytając czy nie ma jakiego środka ratowania podkanclerzyny. Z radością się dowiedział iż istnieje przejście podziemne, ciągnące się pod klasztornym ogrodem i wychodzące na brzeg Wisły. Znalazły się też i dwa wiejskie ubrania kobiece, które się bardzo przydać mogły.

Wziąwszy klucz od podziemnego przejścia, rzekł do przełożonej:

— Wybawiliście ją od niechybnej śmierci, lecz pomsta Radziejowskiego na was spadnie, uchodźcie za nami tym lochem. Zrabują klasztor, lecz wy będziecie bezpieczne.

Przełożona odpowiedziała:

— Żołnierz nie ustępuje z placu przed wrogiem, choćby siły jego były stokroć potężniejsze, my też opuścić nie możemy naszego stanowiska. On z mieczem, a my z krzyżem staniemy do walki. A gdyby nam przyszło ponieść nawet i męczeństwo, Bóg przyjmie krew naszą i nią może okupimy klęski i nieszczęścia kraju.

Tyzenhauz rozrzewniony ucałował pokornie rękę przełożonej mówiąc:

— Więcej zaiste dusz bohaterskich przebywa w murach klasztornych, aniżeli w szeregach wojowników. Śmierć nasza w boju daje nam cześć sławę, a wasze ciche męczeństwo, chyba niebem Bóg wam nagrodzić może.

I ukląkłszy dodał:

— Pobłogosławcie matko, wasze błogosławieństwo od wroga mnie osłoni, zapaliliście promień wiary w mem sercu, czuję się jakby odrodzonym, czuję że we wszystkiem woli Bożej poddać się należy i iść za jej natchnieniem. Matko! tyś cud sprawiła, nawróciłaś wielkiego grzesznika!

— Niech cię Bóg błogosławi, odrzekła przełożona. Kochaj Boga, a ukochasz świat cały; służ Jemu, a praca nie będzie ci ciężką, wypełniaj Jego przykazania, a nietylko zostaniesz zacnym, ale będziesz świętym, a teraz spiesz, ratuj uciśnionych, a Bóg ci to policzy na okup twych grzechów.

Tyzenhauz ucałowawszy ręce przełożonej, zabrawszy przyniesioną odzież wiejską spiesznie pobiegł do pani Radziejowskiej.

Siedziała w smutnych pogrążona myślach, czuła że powtórne spotkanie się z mężem, będzie dla niej śmiercią. Zdało się jej iż Tyzenhauz zagniewany i oburzony na nią, już nie wróci. Jednak gdy wszedł nadzieja nagle wstąpiła w jej serce i sił jej dodała. Młodzieniec zimnym spokojnym rzekł głosem:

— Przebierz się pani w te suknie wieśniacze; a ja tajemnem przejściem wyprowadzę was z klasztoru, nad brzegiem Wisły znajdziemy czółno i popłyniecie z biegiem rzeki, aby w jakiej wioseczynie pod przybranem nazwiskiem módz się ukryć dopóki Szwedzi i mąż wasz znajdować się będą w Warszawie. Spieszcie się bo lada chwila żołnierze klasztor otoczą.

— Dziękuję ci kochany Tyzenhauz, ja nigdy nie zapomnę tak wielkiej usługi, i zaczęła na swe ubranie szybko wiejską odzież wciągać.

— Możesz zapomniéć pani o mnie, i tak lepiej będzie, nie czynię tego dla ciebie lecz dla miłości Boga; ale widzę, że pani zapominasz o ocaleniu...

— Czego?... szybko przerwała Podkanclerzyna, klejnotów i pieniędzy? mylisz się, mam już je przy sobie.

— Pamiętałaś pani o brylantach, z ironią rzekł Tyzenhauz, a zapomniałaś o pannie Marcie.

— A!... Marta... ona sobie da radę, odrzekła pani Radziejowska.

— O niewdzięczna istoto! zawołał młodzieniec, nie mogąc już się powstrzymać, jej ocalenie daleko więcej mnie obchodzi aniżeli twoje! Wnet ją tu przyprowadzę.

Wyszedł Tyzenhauz i po chwili wrócił z panną Martą przebraną po wiejsku i zawiadomioną już o sposobie ucieczki z klasztoru.

Po chwili trzy te osoby spuściły się do lochu i ciemnem przejściem wyszły nad brzeg Wisły. Tyzenhauz znalazł przewoźnika, poszeptał z nim na stronie i dał pieniądze, posadził panią Radziejowską w czółnie i kazał odbić od brzegu. Podkanclerzyna zawołała:

— Czemuż Hirszówna nie siada? bez niej obejść się nie mogę.

— Pannie Marcie inne wynajdę schronienie, pani nie zasługuje na jej poświęcenie. Nie jesteś zdolną ocenić usług które ze szlachetnego serca pochodzą.

Czółno odbiło od brzegu, a Tyzenhauz najął drugie i wraz z panną Martą przejechał na przeciwną stronę rzeki, udając się na Pragę.

Niedługo potem, wszelako gdy już pogoń za zbiegłemi byłaby daremną, Radziejowski ze zbrojnym oddziałem zajął klasztor Klarytek; korytarze napełniły się żołnierstwem, w cichym klasztorze rozległ się szczęk broni, pogróżki tłuszczy i dzikie śmiechy, lecz to wszystko ucichło przed gromem przekleństw Radziejowskiego, który gdy wpadłszy do celi już nie zastał żony. Zelżywszy przełożoną, rozkazał żołnierstwu splądrować klasztor będąc pewnym że się w nim gdzieś kryje, zakonnicom groził chłostą i oddaniem na pastwę żołdactwa, jeśli mu natychmiast żony nie wydadzą. Wszystko było daremne, pani Radziejowskiej nigdzie nie znaleziono, a bohaterskie siostry z przełożoną na czele udały się wszystkie do kościoła i zebrane w chórze, śpiewały psalm „Kto się w opiekę“. To poddanie się woli Bożej. ta spokojna pobożność i rezygnacya, nie wywarły żadnego na Radziejowskiego wrażenia. Gdy poszukiwania okazały się bezskuteczne, a siostry mówić nie chciały co się stało z podkanclerzyną, Radziejowski wpadł w gniew szalony, kazał kościół zrabować, Klarytki rozpędzić na cztery wiatry, a klasztor zająć na wojskowe koszary.

Po tym bohaterskim czynie wpadł jednak w rozpacz niezmierną: tyle poświęcił dla jednej chwili zemsty, a ona ciągle mu się z rąk wymykała. W tym gniewie bezsilnym chciał już nawet sam sobie życie odebrać, lecz nadzieja że jeszcze może odszukać żonę, że będzie patrzył na jej śmierć męczeńską, wstrzymała go od tego rozpaczliwego kroku. Wnet też rozporządził aby po całej Warszawie szukano zbiegłej i naznaczył ogromną nadgrodę za jej wynalezienie, sam zaś udał się do Wittenberga powołany na radę wojenną.

Tymczasem Tyzenhauz w odludnej stronie Pragi znał mały domek z ogródkiem, którego gospodarzy mógł być pewnym, i w nim umieścił pannę Martę. Gdy zostali sami, Hirszówna się odezwała:

— Bóg w miłosierdziu swojem ocalił nas, gdyby zesłał swego anioła nie byłabym mu wdzięczniejszą

jak teraz, gdy wybrał ciebie na mego obrońcę. Być ci wdzięczną, to prawdziwe szczęście dla mnie.

— O moja Marto, wiem że każdy szlachetny postępek oceniać umiesz: ta nikczemna kobieta za moje poświęcenie chciała mi zapłacić złotem. Zraniła mnie boleśnie swym postępkiem, lecz razem i wyleczyła, odsłoniwszy szkaradę swego serca a zamiast uczucia które dziś nie śmiem nazwać miłością, obudziła wstręt i odrazę.

— Cóż się stanie z twoją rojoną wielkością, zaszczytami i bogactwem? zapytała Marta.

— O! nie mów o tem Marto! Dziś ze wstrętem patrzę na moją przeszłość, zmarnowałem życie na błahe usiłowanie, dziś w zaszczytach widzę próżność, w bogactwie marność, w zachceniach światowych znikomość.

Marta z radości i rozczulenia zalała się łzami i rzekła:

— O! jaki Bóg dobry! wysłuchał mych modłów. Ah! umrzeć teraz mogę, bo widzę ciebie odrodzonym.

— Marto! ty żyć będziesz i wiecznie będziesz moim aniołem stróżem, abym nie upadł raz drugi, ty mnie wspierać będziesz. Marto poświęć się temu powołaniu. Dotąd nie byłem godny ciebie, ale słowa płynące z czystego serca, z nieskalanej duszy cuda działać mogą. Bądź towarzyszką mego dalszego życia. Marto, wszak będziesz moją?

Ukląkł i ręce jej całował.

Dalszej rozmowy kochanków nie zdołamy skreślić własnemi słowami, bo czyż dano nam zrozumieć miłosne szczebiotania ptasząt? Czy rozmowę kwiatów dosłyszeć może ucho najczulsze? Czy harmonia całej natury, ten akord Boską ręką wydobyty, możemy zamknąć w słowach? Nie zaiste, bo miłość prawdziwa jest objawem ducha, jest przygrywką do hymnu uwielbienia, który nucą anieli przed tronem Przedwiecznego!

Śmierć podkanclerzyny.

Gdy w Warszawie Radziejowski czyni bezskuteczne poszukiwanie, a nasi kochankowie pędzą dnie w zachwycie i wspólnem uwielbieniu, pani Radziejowska odpłynąwszy o kilka mil od stolicy, wylądowała nareszcie do dworku biednego szlachcica i w ustronnej wiosce pod lasem, zamieszkała. Zmieniła nazwisko; skromnie przyodziana wyglądała niby jak stara ochmistrzyni, która po uciążliwej służbie dworskiej chce resztę życia przepędzić w spokoju. Lecz wzruszenia których doznała, ciągła trwoga, aby jej nie odkryto, zupełne osamotnienie oddziałało szkodliwie na jej zdrowie, brzydki trąd pokrył jej lica, zęby zaczęły wypadać, woskowa żółtość rozlała się po całej twarzy; w jednej prawie chwili zmieniła się w zgrzybiałą, schorzałą staruszkę. Nieprzywykła do prostych potraw, nic jeść nie mogła, trudno więc było podtrzymać upadające siły. W poblizkiem miasteczku kupowała stare wino, które z bułką było całem jej pożywieniem.

Nie zjednawszy sobie żadnego serca, została osamotnioną, a dnie spędzane wśród ciągłych rozrywek, intryg i rozkosznych marzeń, zmieniły się w życie trosk, ciągłej obawy i smutku. Cieszyła się nadzieją, że to wszystko minie, że znowu wrócą dnie wesołe, że za powrotem króla znowu zajaśnieje na horyzoncie stolicy, lecz zdrowie szybkim krokiem upadało, ledwo już chodzić mogła, a dla rojonego przyszłego życia potrzebowała jednak odzyskać siły. Z poblizkiego więc miasteczka sprowadzała doktora, był to staruszek biegły w swej sztuce, dobrego serca, poczciwy, zawsze gotowy nieść pomoc ubogim, ale nieco szorstki w obejściu. Długo badał chorą, a rozdrażnienie systemu nerwowego, zużyte siły, przedwczesna starość, nastręczały mu domysły iż życie pacientki musiało upływać wśród ciągłej wrzawy, w nadużyciach i gwałtownych wzruszeniach. Nie była to właściwie choroba, lecz upadek sił wyczerpanych, których natura niezdolna była podnieść na nowo. Hojne wynadgrodzenie jakie otrzymywał, utwierdzało go w przekonaniu, iż ten dostatek z którym zresztą się taiła, musiał być nabyty jakiemś awanturniczem życiem. A że był zasad moralnych, traktował swą pacientkę ostro i mawiał:

— Choroby oznaczonej acani nie masz, lecz nieporządne życie bokiem jej wyłazi. Jam nie Bóg abym wskrzesił co już obumarło, świeżej krwi wlać jej nie mogę, będę ją podtrzymywał lekarstwami i tym sposobem acani jeszcze na świecie wygetować możesz.

Zatrwożona Radziejowska o śmierci ani na chwilę pomyśleć nie chciała i osłabienie przypisywała niewygodom które musiała znosić. Dowiadywała się też ciągle, czy Szwedzi jeszcze są w Warszawie, tak niecierpliwie wyglądała możności powrotu do stolicy, przytomność miała zupełną, lecz brak sił coraz się wzmagał, aż nareszcie z łoża już wstać nie mogła.

Doktór coraz bardziej przybierał twarz posępniejszą zapytywał czy nie ma krewnych lub blizkich znajomych, aby ich zawiadomić o swym stanie, lecz Radziejowska odpowiadała:

— Krewni moi są daleko, jak wyzdrowieję sama do nich pojadę.

Doktór kiwnął smutnie głową, nic nie odpowiadał, lecz poszedł raz do gospodarza domu i oznajmił że jego lokatorce tylko kilka dni życia pozostaje, że już nie lekarz ale ksiądz jej potrzebny.

Szlachcic ów, staruszek zacny i bardzo pobożny, chciał aby po chrześciańsku lokatorka jego przygotowała się do blizkiej śmierci. Ale że niebezpieczeństwa sama nie czuła, postanowił ją uprzedzić. Nazajutrz więc poszedł do niej i rzekł:

— Asindzka jesteś chora, z każdej choroby może się śmierć wywiązać, należałoby dla własnego spokoju opatrzyć się sakramentami, aby znienacka nas nie zaskoczyła i nie pozbawiła możności pojednania się z Bogiem.

— Nie czuję się tak chorą; spowiednika nie potrzebuję, odrzekła Radziejowska.

— Chory nie może sądzić o biegu swej choroby, a ja tego nie ścierpię, aby ktokolwiek pod mym dachem miał umrzeć bez Sakramentów, ciężyło by to na mojem sumieniu, dla tego posłałem już do naszego proboszcza, aby tu z Wiatykiem przyjechał.

— Dziękuję acanu za jego troskliwość o moją duszę, lecz ja spowiadać się nie będę.

— To już do księdza należy, ja zrobiłem co było moim obowiązkiem.

I wyszedł z pokoju mrucząc pod nosem:

— To jakaś rogata dusza.

W parę godzin nadjechał pleban; staruszek arcy poważnej postaci.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł wchodząc do pokoju chorej.

Pani Radziejowska nie umiała na to odpowiedzieć, i zapytała w jakim interesie przybywa.

Proboszcz oznajmił iż był powołany do chorego, chcącego odbyć spowiedź i przyjąć ostatnie Sakramenta.

— Ja grzechów nie mam, odrzekła Radziejowska.

— Pani chyba ich nie pamiętasz, nie istnieje człek taki któryby mógł twierdzić że nie zgrzeszył.

— Nikogo moją ręką nie zabiłam.

— Ale można zabić słowem, krzywdą, obłudą, niemiłosierdziem.

— To są księże subtelności tylko.

— Pani możesz umrzeć, czyż chciałabyś nieoczyszczona stanąć przed Bogiem? Spowiedź nieumorzy a pokrzepiwszy duszę i ciało do zdrowia powraca.

— To ksiądz sądzi że spowiedź skuteczniejszą będzie od lekarstw?

— Bardzo to być może, będziesz spokojniejszą na umyśle, to i siły odzyskać łatwiej.

Dwie godziny trwała spowiedź, na twarzy księdza malowało się zadziwienie i przerażenie a czoło ciężkim smutkiem się powlekło. Na twarzy jednak chorej, nie widać było skruchy słuchała księdza cierpliwie ale w nadziei że przyjdzie do zdrowia. Ksiądz aby dać rozgrzeszenie odjął chustkę od twarzy i ukazał oczy łez pełne; nareszcie nad głową grzesznicy nakreślił krzyż odpuszczenia. Chora na zapytanie czy nie ma jeszcze co do rozporządzenia, po długim namyśle wskazując leżącą obok siebie szkatułkę, rzekła:

— Proszę zabrać to i zachować u siebie. Jak wyzdrowieję oddacie mi ją napowrót, a gdybym umarła, to szkatułkę tę oddacie podług tego adresu.

I drżącą ręką na kartce napisała: „do rąk własnych pana Tyzenhauza i panny Marty Hirszówny.“ Potem wręczyła mu list do podskarbiego Litewskiego Służki, prosząc aby zaraz został do niego wysłany.

Słowa starego księdza się ziściły, pani Radziejowska uczuła się silniejszą, lecz w parę dni gorączka się wzmogła i jakieś okropne rany na ciele się ukazały.

Litościwy gospodarz sprowadził siostrę miłosierdzia, która przywykła do usługiwania chorym, dniem i nocą krzątała się koło łoża pani Radziejowskiej, przynosząc ulgę w cierpieniach i łagodnemi słowami zachęcając do cierpliwego poddania się woli Bożej.

I któżby był przewidział, że córka potężnego wojewody, żona marszałka nadwornego a powtórnie podkanclerza koronnego, pani dóbr rozległych, słynna ze swej piękności, której hołd oddawali królowie i świetne rycerstwo, na której skinienie stu dworzan spieszyło by spełniać jej rozkazy, której życie wpływało na losy narodu, któżby się spodziewał że ta kobieta zapomniana i od wszystkich opuszczona, znajdzie śmierć pod ubogą strzechą szlacheckiej zagrody? Cały tydzień trwało ciężkie konanie, aż nareszcie w strasznych mękach biedna choć występna kobieta oddała ducha na ręku siostry miłosierdzia.

Gdy zwłoki jej leżały już na prostym tapczanie i tylko jedna siostra miłosierdzia odmawiała pacierze, tentent koni dał się słyszeć na dziedzińcu szlacheckiej zagrody. Był to podskarbi przybywający ze swą Litewską szlachtą, na usilne wezwanie siostry. Wszedł do izby, popatrzał chwilę na jej twarz zmienioną padł na kolana i ryknął głosem który by poruszył kamienne serce. Lecz szybko powstał, otarł łzy i po tym gwałtownym wybuchu żalu wnet wrócił do zwyczajnego swego usposobienia; ślady boleści już nie postały na jego twarzy, trup stał się dla niego jakby obcym. Z listu siostry wiedział że szczęśliwie uszedłszy śmierci którą mąż jej chciał zadać, ratowała się ucieczką i pod cudzem nazwiskiem zamieszkiwała w domu, zagrodowego szlachcica. Gospodarz tymczasem dowiedziawszy się od dworzan, że tym nagle przybyłym gościem był podskarbi Litewski Służka, przywdziawszy co prędzej kontusz, który brał tylko na województwie sejmiki, wy-

szedł do siedzącego w ganku podskarbiego, czapkę do kolan skłonił, i na tacy chleb i sól mu ofiarował. Służka rzekł:

— A wiesz kogo śmierć w tym domu zabrała?

— Jakaś, stara ochmistrzyni, może kiedyś służyła na dworze j. w. pana.

— Nie masz wacpan nosa, nie przewąchałeś że to siostra moja, podkanclerzyna Radziejowska.

— O! głupcze i ośle! zawołał szlachcic, nie wiedziałem że szczęście samo lazło w moje ręce, brałem tylko od nieboszczki pięć talarów miesięcznie.

— Masz waść sto czerwonych złotych za komorne, rzekł Służka dając mu rulon złota, lecz musisz mi oddać jedną usługę. Pędź co koń wyskoczy do Warszawy, kup złocistą trumnę jak najparadniejszą, spraw się żwawo, i sza! nie piśnij słówka nikomu.

Szlachcic znów zniżył się do kolan podskarbiego, wziął jeszcze garść pieniędzy na sprawunek i sam zaprzągłszy bryczułkę, jak najspiesznej pognał do Warszawy.

Kucharze podskarbiego przygotowali obiad. Na stole pojawiło się stare wino, bez którego Służka krokiem nie ruszył z domu, zasiadła szlachta mając go na swem czele i hulanka odbyła się tymże samym trybem, jak niegdyś w Warszawie w pałacu pani Radziejowskiej, z tą tylko różnicą, że pod koniec obiadu powstał podskarbi i wzniósł toast za spokój duszy nieboszczki pani podkanclerzyny, a szlachta duszkiem go spełniła.

Nazajutrz wrócił szlachcic, przywiózł złocistą trumnę, złożono w niej zwłoki podkanclerzyny i o świcie cały orszak wraz z panem Służką i z ciałem jego siostry wyruszył do dóbr jego na Litwie.

Pleban gdy się dowiedział że zmarła była Radziejowską, zatrwożył się z przyczyny depozytu powierzonego jego opiece; domyślał się że muszą być w szkatułce bardzo drogocenne przedmioty, chciał więc tego ciężaru się pozbyć jak najprędzej. Pojechał zatem do Warszawy, szukał po całem mieście Tyzenhauza i Marty, ale ich odkryć nie mógł. Ogromną to było troską dla niego, lecz ciągle się rozpytując, wynalazł dawnego przyjaciela Tyzenhauza, od którego się dowiedział, że ten wyjechał do rodziców panny Marty i że oboje znajdują się teraz na wsi u starego Hirsza. Nie tracąc czasu, zaraz tam się udał zacny proboszcz i o zgonie pani Radziejowskiej im oznajmił. Marta łzę uroniła a Tyzenhauz w milczeniu odmówił Anioł Pański za jej duszę. Pleban opowiadał o ostatnich chwilach jej życia, a w końcu wręczył im szkatułkę uczciwości jego powierzoną. Niedomyślając się co się w niej zawiera i nie wiedząc jakie jej przeznaczenie sądzili że wewnątrz znajdą pismo które ich oświeci o ostatniej woli podkanclerzyny. A otworzywszy szkatułkę, znaleźli tylko kartę z tym napisem: „Dla Tyzenhauza i Marty Hirszówny od podkanclerzyny Anny Radziejowskiej, podarunek ślubny.“ Gdy zaczęli przeglądać znajdujące się w szkatułce pudełeczka różnej wielkości, olśnieni zostali mnóstwem brylantów, szafirów, rubinów, szmaragdów i innych kosztowności, na które z jakąś trwogą spoglądali. Nie było środka ich nie przyjąć, lecz bez długiego namysłu oboje postanowili klejnoty te zaraz sprzedać, i z otrzymanej summy połowę użyć na pobudowanie szpitala dla chorych pod wezwaniem świętej Anny, patronki Radziejowskiej, drugą połowę zostawić na jakiś cel dobroczyny który się później obmyśli. Tym sposobem dar tak bogaty sumienia ich nie obciąży. Wyprawiono zaraz do Warszawy starego Hirsza z klejnotami aby je spieniężyć. Zabawiwszy tam dni kilka, ojciec Marty wrócił ze stoma tysiącami talarów.

Tyzenhauz zupełnie się zmienił, okazywał zawsze wiele przywiązania dla Marty, a uszanowania dla jej rodziców. Nie tęsknił za Warszawą, czas mu upływał szybko, każdy dzień nowe odkrywał zalety ukochanej Marty, z każdym też dniem miłość jego wzrastała. Dziwiło tylko rodziców i córkę że Tyzenhauz nie przyśpiesza ślubu, że widocznie unika o nim rozmowy. Trapiło to Hirszównę, nawet z tego powodu w skrytości nie jedną łzę wylała. Dręcząc się ciągle domysłami, raz nabrała odwagi i zapytała Tyzenhauza:

— Mój drogi, miłość uwieńcza się ślubem, kościół utrwala te uczucie swojem błogosławieństwem i łączy węzłem nierozerwanym. Czemu o tej chwili szczęścia dla nas obojgu, nigdy nie mówisz?

— Moja Marto, odrzekł młodzieniec, nie chciałem cię martwić mojem wyznaniem, bo ta chwila szczęścia jeszcze jest dla mnie daleka. Chcąc posiąść szczęście twej miłości trzeba na to zasłużyć. Czemże dotąd byłem? Dworakiem, wietrznikiem, żyjącym z dnia na dzień, bez żadnego szlachetnego celu. Ty dajesz mi nieskalaną duszę, anielskie serce, dziś ja ci w zamian, prócz mej miłości, nic dać nie mogę.

— Miłość twoja, zawołała Marta, wystarczy mi do szczęścia, w czystej miłości wszystkie cnoty się mieszczą.

— Nie Marto, moja godność osobista nie pozwala mi brać, nic nie dając. Dowiedz się więc o mojem niezłomnem postanowieniu. Słyszałaś że się zawiązała konfederacya w Tyszowcach, że król wraca ze Szląska i staje na czele narodu, dla oswobodzenia naszego kraju od wrogów. Pójdę i ja walczyć z niemi, a gdy moje imię okryje się sławą, gdy za ojczyznę krew moją wyleję, spłacę nią nikczemną przeszłość moją, i krwią na nowo ochrzczony czysty stanę przed tobą. Wówczas, o Marto! z jakąż radością poprowadzę cię do oltarza.

— Mój drogi, odrzekła Marta, chlubię się tobą, nawykłym do poświęceń, obowiązki dla kraju wyższe są i świętsze nad inne uczucia. Niech ci zawsze przed imieniem Marty, przoduje imię ojczyzny. Dusza twoja należy do Boga, serce do mnie, lecz krew do ojczyzny. Drogi mój! nie będę zatrzymywała cię łzami, przeciwnie dodam otuchy do spełnienia świętego obowiązku. Jedź, poświęć się świętej sprawie, spłać dług krajowi, a ja codziennie modlić się będę, aby Bóg przy życiu cię zachował.

Tyzenhauz nie mający pojęcia o takim harcie ducha, zdziwiony męztwem tej niewiasty, jeszcze większy powziął dla niej szacunek. Spadł mu kamień z serca, ucieszył się że zamiast łez znalazł rycerską odwagę, gotowość do poświęcenia szczęścia własnego byle spełnić powinność. Z uwielbieniem ucałował jej ręce i zaraz poczynił przygotowania do wyjazdu. Zebrał kilkunastu szlachty, uzbroił ich, pożegnał Martę i jej rodziców, i ruszył połączyć się z konfederatami Tyszowieckimi.

Konfederacya Tyszowiecka.

Hetmani, Potocki i Lanckoroński, opuścili obóz Duglasa, jenerała szwedzkiego, za nimi poszła szlachta i zawiązała konfederecyą pod tytułem węzła powszechnego (vinculum universale) i w Tyszowicach zaprzysięgła bronić kraju do ostatniej kropli krwi. Do prowadzenia spraw konfederacyi wybrano hetmana i wojewodę Kijowskiego, Stanisława Potockiego, hetmana wojewodę Ruskiego, Stanisława Lanckorońskiego. Do nich dołączono komisarzy od wojska królewskiego: Krzysztofa Tyszkiewicza wojewodę Czernikowskiego, Potockiego wielkiego oboźnego, Jacka Szembeka, starostę Bogusławskiego, Stanisława Służewskiego, starostę Horodelskiego, Stanisława Domaszewskiego, Wacława Lanckorońskiego i Samowskiego. Król przez góry Karpackie szczęśliwie przedarł się do kraju, i przyjęty został w Lubomli z najwyższą radością przez Lubomirskiego, Zamojskiego i Wielopolskiego.

Popęd do zawiązania konfederacyi, do wskrzeszenia ducha w narodzie, dała mężna obrona Częstochowy. Jasna Góra cudami słynąca, stanęła w obronie kraju, bo też istotnie, bez cudu Polska nie mogła być ocaloną: Kozactwo, Tatary, Rakoczy, Brondenberg i Szwecya, kraj zalewały, nie było wolnego kąta w całej Polsce, ani piędzi ziemi, która by nie była krwią zbroczona. Piastowski Kraków, Warszawa stolica Wazów, podległy rządom najezdników. Korona Polska tak świetnie jaśniejąca na czole Jagiellonów, stała się przedmiotem frymarki, dawano ją to carowi Moskiewskiemu, to cesarzowi Niemieckiemu, to Brandeburgowi, to nawet Rakoczemu, byle tylko znaleźć sprzymierzeńców, byle uzyskać posiłki. Wszystkie usiłowania okazywały się próżne; odstąpiona od wszystkich, zostawiona własnym siłom które już były mocno osłabione, a nadto niezgodą rozdwojona, chyliła się do upadku. Że Polska wówczas nie została na części rozszarpaną, był to jasny cud Boży, który się ukazał na Jasnej Górze. Jenerał Miller i hrabia Weresowicz oblegali ten klasztor Pauliński, trzy razy szturm przypuszczono, czyniono podkopy, nieustanna trwała kanonada, kule grzęzły w murach lecz ich nie obalały; twierdzono że wracały nazad i zabijały Szwedów. Jakiż to bohater bronił tej twierdzy, w jakim orężu pokładał nadzieję zwycięztwa? Bohaterem był mnich, przeor Paulinów, ksiądz Augustyn Kordecki; orężem zaś krzyż Zbawiciela, który miał zbawić nietylko Częstochowę, ale i naród cały. Nieustraszone męztwo mnicha, wskrzesiło odwagę w sercach rycerstwa, powstał kraj cały, opuszczono stronę Karola Gustawa, i Jasna Góra ocaliła naród.

Król Szwecki z uszczuplonemi siłami ruszył z Jarosławia, lecz tuż za nim pędzili Lubomirski, Czarnecki, Sapieha, Wiszniowiecki i Sobieski, i omało nawet nie został pojmany do niewoli. Idące mu w pomoc wojsko Margrafa, Czarnecki zniósł ze szczętem, Wittenberg pobity dostał się w niewolę i na kolanach błagał króla aby mu życie darował; Jan Kazimierz kazał go odwieźć do Zamościa. Po tych zwycięztwach król w kościele Farnym we Lwowie, w czasie Mszy ś-tej mianej przez Nunciusza Papieskiego, przy najświętszej Hostyi uczynił następującą wotum solenne:

„Wielka Boga Rodzicielko, Panno Przenajświętsza, ja Jan Kazimierz, syna Twego a Pana mojego i Twojem zmiłowaniem król, do Przenajświętszych stóp Twoich upadłszy, obieram Cię dziś za patronkę moją i moich posiadłości królową, i siebie, i moje królestwo Polskie, wielkie księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Inflantskie, Czernihowskie i t. d. wojska obojga narodów i wszystkie moje ludy, pod Twoją szczególną obronę i opiekę oddaję, a Twojej pomocy i miłosierdzia w tym niepewnym państwa mego stanie, przeciw nieprzyjaciołom świętego kościoła katolickiego pokornie wzywam. A ponieważ największemi dobrodziejstwami Twemi zobowiązany, wraz z narodem moim gorącą pałam żądzą służenia Tobie. Obiecuję więc w imieniu mojem, senatorów i ludów moich, że wszelkiemi siłami będę wszędy w ziemiach królestwa mego cześć Twą i nabożeństwa ku Tobie rozszerzał i t. d.“

Toż samo powtórzyli i senatorowie Rzeczypospolitej.

Wziąwszy za hasło Imię Maryi, rycerstwo spotęgowało swoją odwagę, pod tarczą tego Imienia, nie lękało się śmierci. To Imię powiodło ich do bohaterskich czynów, rozproszyło wroga i trzykroć licz-

niejszych nieprzyjaciół wygnało z Polskiej ziemi. Umysł ludzki nie może wytłomaczyć tych szczęśliwych wypadków, oswobodzenie naówczas Polski było cudownem. Opieka tylko Matki Boskiej kraj ocaliła.

Czarnecki pędził Karola Gustawa do Danii, Tyzenhauz będąc przy boku tego dzielnego wodza, ciągle dawał dowody męztwa i przezorności. Gdy traktatem wojna się zakończyła, Czarnecki młodego bohatera w obliczu całego wojska uściskał i na pamiątkę dał mu swoją szablę.

Z pola bitwy udał się Tyzenhauz wprost do domu Marty, każdy mający serce, odgadnie jakie było powitanie. Młodzieniec z blizną na czole ukląkłszy złożył oręż Czarneckiego u stóp ulubionej i rzekł:

— Ten miecz pogromcy Szwedów i ta kresa na czole, czynią mnie godnym ciebie Marto, od dziś dnia nigdy się nie rozłączymy.

W czasie niebytności Tyzenhauza, przerobiono zakupione budowy na szpital, gdzie umieszczono siostry miłosierdzia, przy nim wymurowano piękną kaplicę w której został kapelanem brat panny Hirszówny. I we dwa tygodnie w tejże kaplicy brat pobłogosławił młodą parę. Czyż można wątpić o ich szczęściu? Bóg nagradza cnotę, i droższe są mu zbłąkane owieczki, które do trzody wracają.

Bóg nietylko błogosławił młodej parze, ale to błogosławieństwo rozlał na ich potomstwo. Z tego stadła wyradzali się męże którzy zdolnościami, usługami dla kraju, uświetnili imię jakie nosiło.

Radziejowski który dla zemsty poświęcił cześć swoją i ściągnął nieprzyjaciół na własną ojczyznę, nie dostąpił szatańskiej rozkoszy cieszenia się jej spełnieniem; z ohydnem stygmatem zdrajcy, drugi raz uciekać musiał z Polski i marnie zginął gdzieś na obcej ziemi.

KONIEC.

WYSTAWA OBRAZÓW
w salonie sztuk pięknych Józefa Ungra.

Krudowski Franciszek: *„Powrót z Golgoty.“* Że malarstwu naszemu sądzono zgrać ważną rolę w dziejach sztuki europejskiej dzisiejszego czasu, dowodem, że od lat kilku, prawie rok żaden nie przejdzie, aby nas nie obdarzył jakimś nowym talentem, na który już nietylko my sami, Polacy, ale i zagranica zwraca odrazu oczy. Bohaterem obecnej chwili w świecie pracowników pendzla, jest młody człowiek, uczeń zdaje się jeszcze szkoły sztuk pięknych w Wiedniu, który obrazem swoim *Powrót z Golgoty*, namalowanym bez wszelkiej pretensyi, a traktowanym przez niego samego jako tylko prawie pierwsze większe studyum, zrobił sobie odrazu tak wielki rozgłos w kole artystów zagranicznych i naszych, iż ci nie wahają się wcale wróżyć w nim Polsce geniusza, który znowu jej imię daleko w świat rozniesie.

Dziwnie słodkie są dla nas takie niespodzianki... i bogdajbyśmy ich mogli doświadczać jak najczęściej.

Powrót z Golgoty jest pracą wielkiego rozmiaru, która gdyby w chwili zbliżenia się do niej nie dawała oczom widza innego wrażenia oprócz tego dziwnie klasycznego spokoju, jakim tchnie każdy przedstawiony na niej szczegół, jużby zasługiwała na wyróżnienie z tysiąca innych religijnych obrazów, które wychodzą z pod pendzla dzisiejszych... nietylko adeptów sztuki malarskiej, ale i nawet sztuki tej mistrzów. A tem bardziej, gdy i techniczne obrobienie pomysłu, wskazuje wprawną rękę co wie gdzie jakim cieniem złagodzić grubość farby; aby widz mógł zapomnieć że stoi przed rzeczą, którą praca rąk ludzkich zmudnie ułożyła, myśląc natomiast, że ma przed sobą... grono dusz płaczących po śmierci Zbawiciela.

„O Chryste!“—przychodzi się zawołać z Mussetem patrząc na tę twarz bladą, wycieniowaną w boskość... I łzy, i zachwyt i sam nie wiesz co zresztą rzewnią ci serce przed obrazem tego Baranka, który zabity przed chwilą ręką katów, niewinnością swoją Sam teraz ich zabija.

Z lewej ku prawej stronie widzisz spadzistość wzgórza, szczyt którego smucą cienie dwóch czarnych krzyży... W ukryciu trzeciego, o którym nam mówi tradycya, a którego jednakże nie widać na płótnie, możnaby przypuścić myśl tajemną autora, że ten chciał uwydatnić nieskończoność męczeństwa jakie ludzkość zarówno za zło jak i za dobro, ponosi tu od wieków, na swojej ziemi... A może też wstyd mu było jako *człowiekowi*, cierpiącemu od wspomnienia grzechu bliźnich swoich, wystawiać w całej prawdzie ten cynizm rozpusty, która Bogu aż dwóch łotrów za towarzyszy dała? Boć jak mówi Zygmunt „jest i w duszy pogarda mająca także panieństwo,“ które tam nawet gdzie o przekleństwo idzie, umié *coś* zamilczéć i ukryć... przed światłem.

Obraz pana Krudowskiego nie *przeklina* sobą zbrodni, której historyą przedstawia. Jest za spokojny i za poważny na to. Ale jako wyrzut wyrażony mocno, nieobecnym zbrodniarzom, którzy śpią już w grobach, może w szczególe wymienionym powyżej zawierać symbol tego *panieństwa*, które odczuła dusza artysty, w chwili, gdy na światło dawała—ich hańbę!

Od lewej ku prawej stronie, w kierunku tej samej pochyłości, którą zniża się ku dołowi wzgórze Golgoty, postępuje i cała akcya obrazu p. Krudowskiego. Więc Ś-ta Magdalena, trzymając twarz całą ukrytą w dłoniach, idzie najpierw, przechylona pod brzemieniem boleści, której równej z pewnością nigdy nie dozna. Włosy jej i szaty rozrzucone pokazują ile piękną być musiała nawet *po ziemsku*, miłując sercem wielkiej pokutnicy swojego oblubieńca, w oblubieńcu—Boga. Przy Magdalenie, schowana więcej w cieniu, z głową otuloną w białą przysłonę, postępuje obok Marya Kleofaszowa, rodzona siostra Matki Zbawiciela. Dalej idzie Matka, wsparta na ramieniu tego, którego Chrystus w ostatniej chwili skonu, dał Jej zamiast Siebie za opiekuna i syna. Ś ty Jan to młodziutki uczeń Jezusa, dzieli, apostolskiem przejęty namaszczeniem, boleść Tej która jedna na całutkim świecie, ma prawo się nazywać: *nieskalaną Matką!*... Schodzą oboje, biedni utrapieniem niebian... Ona, z twarzą na której łez nie widać wcale, gdyż te Boskiej Rodzicy oka nie są godne, dąży w dół patrząc niemo w ciało Swego syna. Jest strapioną, w tem swojem spojrzeniu, jak boleść, choć jak boleść prawdziwa—zarazem spokojna...

On, Jej syn, drugi, żywy, chociaż przyswojony, czując jakiej to chwili stał się bohaterem, przez serce tylko swoje, co umiało kochać, kroczy z czołem pogodnie podniesionem w niebo, jakby wiedząc że twardy wyrok, co się odbył, odbył się z dopuszczenia tegoż nieba na to, by wieczną aureolą pokryć głową Mistrza, co go tak wszystkich skarbów swych zrobił dziedzicem.

W dole po prawej stronie tych wszystkich postaci u stóp wzgórza, kąt cały już reszty obrazu. zajmuje grupa, która stanowi właściwie... jego cel, jeśli można użyć tego wyrazu na oznaczenie z epizodu jakiejś produkcyi pendzla, nadającej tytuł całemu utworowi.

Do tego cośmy powiedzieli już powyżej o twarzy, którą nadał artysta Chrystusowi, niesionemu przez dwóch ludzi, wątpimy tylko aby nimi być mieli Józef z Arymatyi i Nikodem, których podaje biblijna tradycya. dodamy tylko, że ciało Chrystusa, jest przedstawione tu w skurczu, owinięte w prześcieradło białe, które namalowano tak misternie, że zdaje się jakby było zupełnie prawdziwem; i że mężowie tylko trzymający toż ciało niekoniecznie prawidłowo do grobu je niosą. Zresztą obraz przedstawia cudowny dzień biały, jakby słońce na ironią patrzało z góry!.. Jerozolima naszkicowana zaledwie w półświetle. zapełnia najdalszą jego perspektywę.

Zarzucają pracy p. Krudowskiego; że wzgórze Golgoty zrobił zbyt wysokiem, w stosunku właśnie do odległości miasta: zarzucają mu inni że ramię Chrystusa zgina się niewłaściwie pod naciskiem dłoni, dźwigającego święte ciało męża. Przyznajemy się. że zachwyceni całością obrazu; nie mieliśmy czasu ani ochoty, wglądać w to, czy istotnie zarzuty są słuszne. Niech ktoś zimniejszy od nas, idzie to sprawdzić... my tymczasem radzimy każdemu zobaczyć *„Powrót z Golgoty.“*

Teofil Tarcza.

Przegląd literacki.

Gość—Kalendarz ułożony przez K. Pr. na rok zwyczajny 1881.

Na okładce przedstawiony w drzeworycie włościanin z kijem w ręku i ze zdjętą czapką wymawiający nasze zwyczajem pięknym upowszechnione pozdrowienie: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, objaśnia główną myśl autor, dla kogo przeznacza swoją pracę, chociaż z przyjemnością i pożytkiem odczyta ją każdy tytule tam nagromadzonych jest różnych ciekawych szczegółów i wiadomości. Że zaś nie pomieścił w tyle dodatku: *dla ludu*, pochwalamy mu to bardzo. Wyrażenie lud, pod względem umysłowego wykształcenia, oznacza ludzi zupełnie ciemnych zaledwie jako tako czytać umiejących, któż do takich zechce się liczyć, kogóż nie zrazi książeczka takim tytułem uposażona, nie wyłączając nawet takich, którzy rzeczywiście do klasy tej należą?

Sądźmy rzeczy po ludzku: zarozumiałość jest wadą bardzo upowszechnioną. a im mniej kto umie, coś, jak to mówią, chlipnie tylko z nauki, tym więcej wadzie tej ulega, Lud najmniej umie, jednostki wyrosłe z niego choć na skromnych czytelników, już się z pod nazwy ludu usuwają, otóż i nowa przeszkoda podania im do rąk książki rzeczywiście dla nich przeznaczonej. Czyż przeszkód tych mało posiadamy, aby liczbę ich powiększać samowolnie, chociażbyśmy nawet znaczenie do nich małe przywiązywali?

Mówię to z praktycznego na świat poglągu. Poznałem już takich zarozumialców z ludowej gromady, którzy zaledwie przez czytanie ocknąwszy myśl z uśpienia, nietylko uważają się za ludzi już widzących wiele, ale za zdolnych do pisarskiego zawodu i pewnych że w nim z pożytkiem pracować mogą. Poczciwi to prostaczkowie, dziwić się im ani wyśmiewać nie godzi, bo nietylko z ich grona z podobnemi zachciewkami ludzie wyrastają. Tu tylko ta zachodzi między niemi różnica, że gdy naszego świata porywczy do pióra, palą nieraz smalone du-

by pozując na wielkich poetów lub prozaików, pohopni do piśmiennictwa prostaczkowie, radziby własne zacne i poczciwe myśli rozbudzone czytaniem i poglądem krytycznym na świat do którego należą, przelać w swych współbraci, i otworzyć im oczy na prawdy które zdobyli, słowem prostem, nieudatnem ale płynącem prosto z serca i poczciwej duszy. Którzy z nich śmieszniejsi, zostawiam to uznaniu każdego.

W kalendarzu p. K. Prószyńskiego, oprócz części specyalnej, w której nic nie pominięto co właściwie do niej należy, przy każdym miesiącu dano objaśnienia świąt główniejszych i parę wspomnień historycznych, dobrze wybranych; następnie przedstawiono zasady przenoszenia świąt ruchomych. Potem idą artykuły o roku i jego porach, o kalendarzu nowym i starym, o mierzeniu czasu, opowiadania o świecie całym i jego częściach, o księżycu i jego odmianach, o zaćmieniach i kometach. Dalej następują żywoty Świętych polskich, świeże wspomnienia ważniejsze w ciągu roku wydarzone, wspomnienia pośmiertne zasłużonych ludzi, wiązanka wieści, różne sposoby gospodarskie, wreszcie figielki i t. d.

Treść jak widzimy dosyć obszerna chociaż wyłączono z niej zupełnie powieść i wiersze, na czem wartość pracy tej nic nie traci, tak p. Pr. umiał ją urozmaicić.

Pomijając inne artykuły, jasno i zwięźle opracowane i objaśnione nawet kilku rycinkami, z wielkim pożytkiem moralnym ułożono wiązankę wieści, w których mieszczą się wiadomości dotyczą ce wzajemnych stosunków pomiędzy ludźmi i wynikłych z tego dla ogółu korzyści. Za bardzo także dobre uznać należy, pomieszczenie we wspomnieniach pośmiertnych, zmarłych obywateli którzy życiem zacnem zdobyli szacunek powszechny całej okolicy· Szkoda że w nekrologii nie mieszczą się nazwiska ludzi równie zasłużonych a skromniejsze w świecie zajmujących stanowisko.

W pismach codziennych acz rzadko ale znajdują się o nich doniesienia, dobrze byłoby pamiętać w przyszłości o tych wybrańcach ubożuchnych, bo nie ten godny uczczenia który zrobił wiele, ale ten co robił wszystko co mógł.

W początkach roku bieżącego w pismach naszych peryodycznych, było wiele mowy o konkursie na książkę, która według ułożonych warunków, byłaby niejako encyklopedyą wiadomości koniecznych dla ludu wiejskiego. O niemożności napisania takiego dzieła w drodze konkursu i niepraktyczności jego gdyby nawet zostało napisane, pisałem już pare razy. Oświadczyłem wówczas o konieczności powolnego przygotowania ludu umysłowo do korzystania z pracy tak obszernej.

Kalendarz p. K. Pr. wybornie do tego przygotowania posługiwać może, a i w przyszłości również jeżeli równie starannie układany będzie, jak tego dokonał autor na rok 1881.

Radzibyśmy tylko spotkać w nich dowody pamięci, że dziś włościanie mają prawa i obowiązki jakich przedtem nie mieli, że im w nich należy oświecać i obudzać rozumne ich pojmowanie i wykonywanie. Dobrzeby także było, aby Figielki w tegorocznym kalendarzu pomieszczone, zastąpione zostały więcej zalecającemi się prawdziwym humorem. Nie są one złe, ale brak w nich tego co prawdziwy dowcip stanowi. Mała to wada, bo Figielki nie całe trzy stronice obejmują, ale radbym aby w przyszłości i na ten zarzut kalendarze p. K. Pr. nie zasługiwały.

W zakończeniu tego pobieżnego przeglądu, miło mi wyrazić największe uznanie dla pracy p. K. Pr. w której z każdej myśli, z każdego artykułu, tryska pragnienie jak najmożliwszego pożytku czytelników, a przedewszystkiem chęć jednoczenia a unikania wszystkiego co rozdział może sprowadzić. W zastępie młodych pracowników pióra, p. K. Pr. jest jednym podobno co ważne zadanie podjęte przez siebie tak trafnie w wykonanie wprowadza. Niech Bóg szczęści poczciwej pracy, niech kalendarze pana K. Pr. nie w tysiącu ale w setkach tysięcy rozchodzą się po świecie, bo godne są tego, godne poparcia wszystkich pragnących zasiewu dobra i piękna, na niwach acz bujnych ale bardzo zachwaszczonych.

Jeszcze słówko. W przemowie od Kazimierza Promyka, przybranego miana przez p. K. Prószyńskiego, dostrzegłem coś jakby pragnienie naśladowania mowy ludowej. Niech się autor strzeże tego, Lud nie lubi gdy się jego sposób mówienia naśladuje: uważa to za szyderstwo. Pisząc o ludzie dla nas, dla większej prawdy należy i mowę jego odwzorowywać wiernie: pisząc dla ludu, trzeba być w słowie jasnym i malowniczym, unikającym wyrażeń niezwykłych lub zbyt skomplikowanych, nawet wyrazów przez lud nieużywanych, ale strzedz się błędów mowy jego, obcych poprawnej przez nas używanej.

Z kraju i z zagranicy.

+ Trzęsienia ziemi, ta straszna klęska której zaradzić nic i nikt nie zdoła, pojawiały się niezwykle często już w przeszłym miesiącu na ogromnych przestrzeniach świata. Z 3 na 4 października, trzęsienie ziemi miało miejsce w całym niemal Siedmiogrodzie, mianowicie w miejscowościach górzystych, od siódmej wieczorem przez całą noc dał się słyszeć głuchy huk podziemny. O kwandrans na siódmą rano, nastąpiły uderzenia parę sekund trwające, w jednych miejscowościach powtarzające się dwukrotnie, w innych miejscowościach aż do dziesięciu razy. Drzwi same otwierały się i zamykały, szyby brzęczały, dzwony nieporuszane dzwoniły. W okolicach Tövis mała stacya kolei została obalona. W Felvinez uderzenia były bardzo silne i trwały przez dwie minuty; wiele gmachów publicznych zamieniło się w gruzy: całe pawie sklepienie kościoła reformowanego się zapadło. W Bystrzycy taki strach ogarnął mieszkańców, że prosto z łóżek wybiegali na ulice i place.

I odległa od tych okolic Hiszpania, także 21 z. m. nawiedzona była trzesięniem ziemi; w Kordubie trwało dwie sekundy, z głuchym hukiem podziemnym; tegoż dnia dało się uczuć i w Madrycie, lekkie uderzenia trwały sześć sekund, silniejsze w mieście niż w okolicach. I w prowincyi Zamora wiele miast nawiedzonych zostało trzęsieniem ziemi; które jednak żadnych szkód w nich nie zrządziły. W tymże samym dniu 21 z. m. trzęsienia ziemi nastąpiły w Lizbonie i Koimbrze.

Lecz wszystkie powyższe wstrząśnienia były zaledwie jakby przegrywką do strasznej klęski jaka d. 9. b. dotknęła w Kroacyi miasto Zagrzeb i jego okolice. (W południowej stronie cesarstwa austryackiego). Trzęsienie ziemi tak silne jakie nader rzadko tylko miewa miejsce w krajach odległych od morza, wstrząsnęło miastem w jego podstawach; trwało 10 sekund, gdyby trwało dłużej lub powtórzyło się, całe miasto ległoby w gruzach. Zaraz po pierwszem wstrząśnieniu obłoki pyłu uniosły się nad Zagrzebiem, obalały się kominy, obrywały gzemsy spadające z trzaskiem, i zgliszczami swemi zaścielające ziemię, a łomot walących się murów i ogromne krzyki przerażonych mieszkańców, zagłuszały prawie huk i grzmot dochodzący z łona ziemi. Cały Zagrzeb przedstawia straszny, przerażający widok zniszczenia. Szkody dotąd nieobliczone; wiele bardzo gmachów jest zniszczonych lub bardzo uszkodzonych. Przeszło 3,000 domów są całkiem niemieszkalne. W katedrze zawalił się ołtarz i wieża pękła, a w kościołach Ś go Marka i N. P. Maryi tak wielkie wyniknęły uszkodzenia, iż trzeba je będzie przebudowywać. I gmachy publiczne ogromnie ucierpiały, a między niemi uniwersytet, pałac arcybiskupa i wiele innych, w pokoju biskupa Posilowica, sufit zaczął się zawalać gdy był jeszcze w łóżku! We własności ruchomej mieszkańcy ogromne ponieśli straty; uciekali z mieszkań oknami i drzwiami zaledwie okryci, zostawiając wszystko; nawet kosztowności i pieniądze. Meble, porcelana, kryształy, obrazy, zostały pogruchotane walącemi się sufitami. Dotąd podają parę osób zabitych i 30 rannych. Zagrzeb przedstawia się obecnie jakby po bombardowaniu, liczba obalonych ścian szczytowych dochodzi do pięciuset, a kominów przeszło tysiąc. Wieża kościelna przy klasztorze siostr miłosierdzia osunęła się na kilka cali. W kościele Św. Marka, oberwana część stropu zmiażdżyła rusztowanie; pokaleczyła robotników pracujących nad odnowieniem drzwi, a cały fronton kościoła oddzielił się od reszty murów. Cesarz Franciszek-Józef przysłał potrzebującym wsparcia 10,000 złr.

Zarząd miasta zajął się natychmiast zrewidowaniem wszystkich domów mieszkalnych, z grożących niebezpieczeństwem usunął lokatorów, a jednocześnie burmistrz odniósł się do zarządów miast w Hradcu i Lublany, prosząc o przysłanie murarzy i cieśli, dla naprawy mniej uszkodzonych domów i pobudowania baraków na placach i za miastem.

Uszkodzone kościoły musiano zamnąć i nie ma gdzie odprawiać nabożeństwa; niektóre bióra i szkoła zamknięte z powodu uszkodzeń gmachów. Około 500 domów wymaga kosztownej reparacyi albo rozrzucenia. Około 11 i pół w południe i 6 i pół wieczorem wstrząśnienia się ponowiły, ale te nie były już gwałtowne i nowych nie spowodowały strat i niebezpieczeństw. W mieście zapanowało niewysłowione przerażenie, każdy uciekał gdzie mógł pędzony przestrachem.

Do koła Zagrzebia potworzyły się głębokie szczeliny i przepaście, w kilku miejscach pod miastem wystąpiły ciepłe źródła. Jednocześnie i w innych miejscowościach miały miejsce wstrząśnienia, a choć nie tak gwałtowne jednakże w niektórych znacznych szkód były powodem. W Kemetu zawalił się piękny kościół Paulinów, zbudowany w stylu gotyckim, a w Gravesana stary kościół pod gruzami którego znalazł śmierć pewien młody człowiek a proboszcz zaledwie zdołał jej uniknąć. Piękny kościół w Ciecevie i pięć innych w blizkich miejscowościach, tak silnie są uszkodzone że je trzeba było zamknąć. Wszystkie prawie większe okoliczne gmachy, wille, pałace i zamki możnych panów albo się zawaliły albo skutkiem nader silnych wstrząśnień tak są uszkodzone, iż w obecnym stanie mieszkać w nich niepodobna.

Tegoż dnia 9 b. m. o godzinie 7-mej minucie 20 dało się także uczuć w Wiedniu lekkie trzęsienie ziemi, w 1-ej i 3 ej dzielnicy miasta; w Lublanie parę sekund trwające, w kierunku z północy ku południowi; w Marburgu nastąpiły trzy silne faliste wstrząśnienia trwające z przerwami 2 do 3 minut, w kierunku z północnego wschodu do południowego zachodu; mury się chwiały, a w niektórych gmachach popękały. Z licznych jeszcze okolic państwa austryackiego, dochodzą telegramy o mniej więcej silnych wstrząśnieniach; a straszna to klęska

okropniejsza niż pożar i powódź, bo tym do pewnego stopnia zapobiedz i przeciw działać można, kiedy przyjścia i rozmiarów trzęsienia nikt naprzód oznaczyć nie może. Kierunek poznaje się dopiero gdy już nastąpi, i nikt nie wie co robić, gdzie uciekać bo ani otwarte pole nie obroni, bo i tam lękać się trzeba czy za chwilę bezdenna przepaść nie otworzy się i nie pochłonie uciekających. — W tej chwili dochodzą telegramy z Zagrzebia że w nocy d. 17 b. m. dało się znów kilkakrotnie uczuć dość silne trzęsienie ziemi. Niepodobna wyrazić przerażenia mieszkańców.

\+ Słynny francuzki pisarz Zola, zamieścił w szpaltach *Figara* artykuł przeciw twierdzeniom p. Pawła Cassagnac, znanego stronnika bonapartystów, który dowodzi w jednem z pism że aby być mężem Stanu w znaczeniu jak to dzisiejszy świat pojmuje, trzeba tylko umieć zagarnąć władzę przemocą i zatrzymać ją siłą, mieć nieugięty charakter, niezłomną wolę i energią—oto wszystko. Talenta i zdolności zupełnie tu niepotrzebne; bo narodom nie głębokich myślicieli ale żołnierzy potrzeba. Bez szkół można się obejść lub do nich nie uczęszczać, byle tylko uczyć się fechtowania i starać się w niem celować. Naukę i uczonych uważa Cassagnac nietylko za niepotrzebnych ale nawet szkodliwych i niebezpiecznych dla społeczeństwa — widzimy więc że w twierdzeniach swoich dochodzi do niedorzeczności, a artykuł swój kończy: że gdyby ideał jego, taki żelazny mąż stanu pojawił się i pochwycił władzę —zacząłby swe rządy od zastrzelenia Zoli.

Czyżby uważał go za tak wielką, że aż niebezpieczną dla Francyi, potęgę *naukową?*

Tak zaczepiony, Zola nie mógł milczeć, — odpisał więc w *Figaro*, gdyż jak wiadomo od niedawna jest stałym współpracownikiem tego dziennika.

„Niechże ktoś wskaże mi, mówi w artykule pod tytułem „Krew i atrament" jakiś kraj któryby wskrzeszenie swoje potokom przelanej krwi zawdzięczał. Gdzież państwo Aleksandra i zdobycze Karola W. które zawdzięczali podbojom? Gdzie cesarstwo Napoleona, gdzie jego potęga? Czyż z krwi płynącej strumieniami wykwitnęła choćby jedna wielka lub zbawcza idea—nie, bo krew przelana nie wydaje innego plonu, jak rozpacz, przekleństwa i zarazę szerzącą się dokoła, z powodu zakażenia powietrza... Jakże to innem jest działanie atramentu, o którym p. Cassagnac wyraża się tak pogardliwie. Jest to wielka, życiodajna siła cywilizacyjna, a choć pozostawia plamy to nie zabójcze przecie. Ani jedna idea nie przyszła na świat bez atramentu: z kałamarza wyrastają bezustannie płodne kwiaty powstające z pod pióra genialnych uczonych i pisarzy. Gdy Napoleon zdroje krwi ludzkiej przelewał atrament Lavoisier'a nowemi odkryciami wzbogacał dziedzinę wiedzy, a atrament Chateubriand'a i Wiktora Hugo wzbogacał literaturę: gotówbym założyć się że każde przedsięwzięcie ludzkie powstało tylko z kropli atramentu.

„Nasz wiek, wiek nauki, w którym inteligencya stanowi prawdziwą arystokracyę, to nie wiek feudalizmu w którym siła fizyczna nadawała przywileje; umiemy cenić odwagę, choć i jej przecie różne są rodzaje, i nieraz piszący w swoim gabinecie podnosi się do bohaterstwa, sądzimy przecież że w obecnej chwili potrzebniejsza nam inteligencya niż odwaga. Stokroć lepiej aby młode pokolenie nasze rozlewało w szkołach jak najwięcej atramentu, niżby miało w wojnach krew przelewać.

„Pan Cassagnac jak najniesłuszniej wyraża się pogardliwie o ciosach zadawanych atramentem; są one niebezpieczniejsze niż rany zadane szpadą; szpada jest bronią fizyczną i bezrozumną, z jej ran wyleczyć się można, kiedy przeciwnie zadane trafnie umiejętnem piórem, pozostają niezagojone, bo to broń rozumu w usługach prawdy...

„Mężowie Stanu nie będą pewnie zadowolnieni i nie przyznają się do pojęć p. Cassagnac, powiedzą że ideałowi jego potrzeba jeszcze co najmniej rozumu i przebiegłości; oni uważają siebie za ludzi czynu, a nas, gdy tylko przeciw nim wystąpić się poważamy, nazywają pismakami... Tak więc oni są ludźmi czynu, a my ludźmi gabinetowymi...

„Mąż jakiś całe godziny nieporuszony siedzi w swoim gabinecie; przed nim stoi kałamarz, leży papier i pióro. Milczenie zaległo dokoła—ani śladu jakiegoś czynu. Mąż ten nazywa się Rabelais, Molière, Balzac — a pod pozorną martwotą jego członków, kryje się potężna działalność która świat przeistacza; przyśpiesza pochód stuleci i dojrzewanie ludzkości, bo działa tu mózg pracujący dla wieczności... Tam znów inny człowiek stoi u steru władzy, w Izbach lub na ulicy; ten burzy się nieustannie, rozprasza siły swe w słowach i czynach i pragnąłby zreorganizować państwo—to Kazimierz Perier, Guizot lub Thiers — taki spełniwszy czasowe swe zadanie, znika z widowni jak znika przemijająca jego sława...

„W pisanej jedynie myśli spoczywa rzeczywista i trwała działalność, najwyżej zaś umiejący się wznieść mężowie polityczni, umierają wraz z dziełem swojem, a ich z kart wzniesione pałace, nie zdołają się utrzymać na wiecznie ruchomym piasku historyi. Zarówno najwięksi jak i najniegodziwsi, zaledwie pamięć po sobie zostawiają, a my nawet po śmierci ich nie możemy o nich wyrokować, ponieważ dzieła ich znikły. Tak jest, my rozmyślamy w milczeniu w głębi naszych gabinetów — lecz pocieszamy się patrząc na sławne owe dzieła ludzi czynu. Skaczcie, poćcie się, rozpraszajcie wasze siły, dla nas, obserwatorów, będziecie zawsze tylko maryonetkami, opierającymi się na mniej więcej znanym mechanizmie. Jeźli państwa Aleksandra Wielkiego, Cezara i Napoleona w proch się rozwiały, jeźli całe stulecia historyi spisać można na kilku stronicach, a sąd o trybunach i ministrach streścić w kilku wierszach, cóż znaczą osobiste nasze republiki?... Wszystko to przelotne chwile w życiu narodów, i może tego co dziś dzieli i wstrząsa całym narodem, już synowie nasi nawet znać nie będą. My siedzimy zamknięci w naszych gabinetach, ale jeźli który z nas jest genialny i potrafi stworzyć arcydzieło, nietylko siebie ale kraj swój unieśmiertelni. Rzym upadł, lecz pisarze jego żyją dotąd!

„My zbrojni tylko w kałamarze i pióra, jednakże wielką jesteśmy potęgą, nadzwyczajną stanowimy siłę. Przymykamy słuch i powodujemy silniejsze bicie serca. Gdy artysta podnosi głos, dreszcz wstrząsa narodem, wszyscy śmieją się lub płaczą, on panuje i nie umiera, wieki do niego należą.

„Zapewnie pisarz niejeden może być zupełnie niezdolny do rządzenia krajem, nie posiadać zupełnie politycznego zmysłu, i może gdyby obrano go posłem przedstawiłby się gorzej nawet od nader ograniczonych kolegów, i nie jest brany w rachubę przez maszynę państwową, jako nie mający udziału w działalności bezpośredniej—lecz czekajmy sądów przyszłości.

„Tak panowie politycy, rządźcie, twórcie historyą a my jako protokuliści wszystko zapisywać będziemy. Ale baczność! W Rzymie nazywaliśmy się Juwenalisem i pisaliśmy satyry, za czasów restauracyi głosiliśmy pamflety pod nazwiskiem Pawła Ludwika Courier, a 2 grudnia byliśmy Wiktorem Hugo i policzkowaliśmy drugie cesarstwo grzmiącym głosem, wypominając je w *Le Chatiments*."

Nie można nie przyznać Zoli, że w artykule tym, którego treść podajemy, wypowiedział wiele pięknych i trafnych myśli.

\+ Dziwny zbieg okoliczności, że na dwóch tak odległych i sprzecznych z sobą krańcach świata jak Anglia i Abissynia jednocześnie niemal jedną zajmowano się kwestyą. W Manchester przeciw dzieciom palącym tytoń. Najpierw przemówił biskup miejscowy, dowodząc szkodliwości tego nałogu, który jeden tylko krok dzieli od pijaństwa. Następnie przemawiało dwóch doktorów, wykazując iż używanie tytoniu tępi słuch i wzrok osłabia. Jakkolwiek Anglicy są zwolennikami wolności osobistej, jednakże w tej okoliczności objawiono jednozgodne życzenie aby policya aresztowała chłopców palących na ulicy. Jeden z obecnych ekonomistów przedstawił obrachowanie dowodzące ile pieniędzy sama małoletnia ludność Manchesteru puszcza z dymem, dodając że groźna ta klęska tak pod względem ekonomicznym jak sanitarnym coraz więcej rozpowszechnia się w Anglii. Zakończono posiedzenie wystosowaniem okólnika do duchowieństwa, nauczycieli i wszystkich w ogóle mających wpływ i stosunki z młodzieżą, aby starali się zapobiegać i powściągnąć ją od oddawania się tak zgubnemu nałogowi.

Energiczniej daleko postąpił sobie Jan, król Abissynii, wydał bowiem dekret zakazujący najsurowiej używania w jego państwie tytoniu. Niezliczona liczba dozorców rozrzuconych po całym kraju, czuwa bacznie nad wykonaniem tego prawa. Jeźli schwytana na gorącym uczynku osoba, jest zamożną, musi za karę dać muła i wysłuchać surowego napomnienia; biedniejsi podlegają karze cielesnej, przyprawiającej ich o kalectwo, jak między innemi oderznięcie dolnej wargi. Palacze schwytani w Amharze, podlegają surowszym jeszcze karom, gdyż w takich razach wyrokuje sam król lub przyboczna jego rada, skazująca zwykle winowajcę na pozbawienie ręki lub nogi. Jednakże okrutna ta kara nie bywa wykonywaną i zamieniają ją na konfiskatę majątku. Ten dekret króla Jana jest tylko urzędowem potwierdzeniem zakazu ogłoszonego jeszcze w roku 1869 przez pewnego abissyńskiego mnicha, który twierdził iż w dniu ukrzyżowania Chrystusa wszelkie krzewy pousychały, i tylko za sprawą szatana ulubiony jego krzak tytoniowy nie przestał kwitnąć. Zatem wszyscy palący tytoń lub zażywający tabakę czynią to z djabelskiego poduszczenia i są bluźniercami zasługującemi na surową karę.—Wszystko to być może, a jednak tytoń czem jest tem pozostanie.

\+ Za odznaczające się prace na kongresie higienicznym jaki odbył się w Paryżu w r. 1878, rząd francuzki obdarzył zaszczytną oznaką palm akademickich (Officier d'Academie) kilku uczestników tegoż zjazdu, a między innemi panią Bovell-Struge doktorkę medycyny w Londynie i d-ra med. Wilhelma Lubelskiego.

\+ Na wyspie Man ciało prawodawcze zezwoliło na ważną zmianę ustawy wyborczej; mocą tej uchwały nadano kobietom prawo głosowania.—Czy to czasem nie ostatnia praca Aleksandra Dumas *„Les femmes qui tuent et les femmes qui volent"* wywarła tak wielki wpływ na powyższych prawodawców.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 11 Ноября 1880 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 48 r. 1880.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

F. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

To rozumowanie przekonywa że doktór Ford nie grzeszył bynajmniej zbytkiem zarozumienia. On tylko dumny był ze swych zdolności i wiedzy doktorskiej, bo te były niezaprzeczone, ale nie było człowieka mniej kierującego się miłością własną, pod względem ocenienia swych osobistych powabów i środków podobania się kobietom. Gdy niegdyś Cecylja na tak gorzki skazała go zawód, nie przypisywał go niestałości i płochości kuzynki ale temu że się dość podobać nie umiał. I dla czegóż dziś miałoby być inaczej? zkąd miałby wyobrażać sobie że kobieta mająca sposobność uczynienia odpowiedniego wyboru, wyróżni go z pomiędzy tylu zajmujących mężczyzn i teraz gdy już podstarzał uczyni go wybrańcem swego serca? Wiedział o tem dobrze iż gdyby tylko chciał mógłby *dostać żony* i przyjaciele jego bardzo go do tego namawiali—ale mimo jego obojętności dla kobiet, małżeństwo uważał za rzecz świętą i obawiał się niewymownie aby Dora, jego wychowanka, jego przybrana córka, miała go zawrzeć lekkomyślnie i nierozważnie. Wyrozumował więc sobie że pierwszym jego obowiązkiem jako opiekuna, było nastręczenie swej młodziutkiej wychowance sposobności zastąpienia swego szalonego urojenia rzeczywistem uczuciem—cóż znaczy że on boleć nad tem będzie, wszak obeznany jest z cierpieniem, a nerwy jego są równie silne jak i mięśnie! Zapewnie wiele przeboleje zanim zdoła zatrzeć w swem sercu obraz wyryty tak głęboko i odwyknąć od *dziecka* które tak bardzo ukochał — ale wszak jest mężczyzną, musi więc znieść co tylu innych znosi.

Co zaś do tego milutkiego, naiwnego dziewczęcia której uczucia i pojęcia tchnęły jeszcze kwiatem wiosennym i nie nabyły jeszcze dojrzałości jaką nadaje lato i piekące słońce doświadczenia, która podlegała wpływowi każdego wypowiedzianego przez niego słowa lub spojrzenia, i tak cierpiała nad choćby nieco zimniejszem lub surowszem obejściem—potrzeba koniecznie myślom jej inny nadać kierunek, a najlepszym ku temu środkiem jest dać jej poznać szczere i serdeczne uwielbienie. Potem, gdy już podzieli okazywaną sobie miłość, (o czem nie ma co wątpić, gdyż umysł młodych dziewcząt jest tak płochy i zmienny, że najczęściej same nie wiedzą czego chcą), gdy wszystko się skończy, to jest gdy Dora pójdzie za mąż — wtedy w sercu jego odżyją dawne spokojne dla niej uczucia, i zdoła może zapomnieć że rozkoszna, urocza i samowolna istotka, dziwna mięszanina łez i uśmiechów, opromieniła i zakłóciła zarazem ciche i monotonne życie, jakie wiódł z siostrą przed jej przybyciem! Może nie zdoła tak zmienić i ostudzić swych uczuć, ale że nie było to znów zupełnem niepodobieństwem, więc probować powinien.

Jako człowiek energiczny, doktór Ford natychmiast przystąpił do urzeczywistnienia zamierzonego postanowienia, i napisał do swego przyjaciela. Czuł to że bardzo zimno przyjął zwierzenia Bertrama i jego oświadczenie się o rękę jego wychowanki, ale myślał sobie: wtedy uważałem ją jeszcze za zbyt młodą aby mogła podzielać poważne uczucie, ale skoro może mieć niejaką skłonność ku mnie (a z jakąż radością i goryczą zarazem powtarzał to przypuszczenie) zatem mogłaby powziąść ją i dla innego—a zresztą przyrzekłem Bertramowi że żadnemu współzawodnikowi uprzedzić go nie dozwolę.

Napisał więc do przyjaciela donosząc mu że Dora zupełnie już jest zdrowa, może więc przyjechać starać się o jej rękę—a łatwo odgadnąć, że William Bertram nie odwłóczył swego przybycia do Rocborough.

Jednakże przed wysłaniem tego listu, doktór zasięgnął rady sir Lionela Halsted. Starzec nie bardzo troszczył się o Dorę, poprzestając na zapytywaniu niekiedy siostrzeńca o jej postępowaniu, ale Ulryk Ford żywił tajemną nadzieję że kiedyś *dziecko* zajmie w Trampton należne sobie stanowisko, do którego ma niezaprzeczone prawo. Zdawało się teraz że to ukrywane życzenie jego było blizkiem urzeczywistnienia, gdyż sir Lionel i lady Halsted zajęli się dość żywo zamierzonem małżeństwem, wypytywali o stosunki rodzinne i majątkowe pana Bertram, a nareszcie oznajmili iż gdy młoda para zostanie zaręczoną, z radością powitają w Trampton młodą narzeczoną!

Doktór Ford podziękował sir Lionelowi i jego żonie, ale zarazem westchnął ciężko myśląc sobie że i on należeć będzie do liczby zaproszonych dla uczczenia młodej pary; zatem zmuszony będzie być świadkiem szczęścia, o którem myśl sama straszną dla niego była męczarnią. A jednak ze stoicyzmem Spartanina, gotów był przyjąć w domu przyjaciela jako uznanego pretendenta do ręki jego wychowanki, z gościnnością tak łatwą gdy pochodzi z serca, tak trudną do wykonania jeźli słowa powitania i uprzejmej rozmowy, tak trudne nam są do wymówienia jak wydobywanie dyamentów z wnętrza ziemi.

Pan Bertram przybył tedy w całym blasku swej wesołości i urody, uśmiechając się nieustannie i pokazując białe zęby; gładził ciągle z upodobaniem swoje gęste i piękne faworyty, których był szczęśliwym i dumnym posiadaczem. Powabny pastor przybywał obciążony przepysznemi bukietami i pełnemi serdeczności listami od siostr i rodziców, i pochlebiał sobie w duszy, że zdobędzie fortecę po kilkodniowem oblężeniu. Niestety! zawiodły go słodkie nadzieje; Dora dotąd jeszcze osłabiona i najczęściej spoczywająca na sofie, oznajmiła że nudził ją śmiertelnie, a nawet zapytała wprost kuzynki Maryanny, dla czego pan Bertram nie zostaje na dole lub w sali jadalnej, zamiast przychodzić nudzić ją w salonie? a nareszcie schroniła się przed nim do swego pokoju, mówiąc że nie opuści go jeźli natrętny gość narzucać się jej będzie.

Doktór Ford probował robić jej przedstawienia, ale przybrała śliczną niby zagniewaną minkę, powiedziała mu że jest okrutnym tyranem i najdespotyczniejszym opiekunem, a mówiąc to ujęła dłoń jego i wpatrywała się tak czule, iż uznając że ucieczka będzie dla niego najlepszym środkiem ratunku, oddalił się co prędzej.

W dziesięć dni po przybyciu do Rockborough, powabny rektor z Oxley, wszedł raz po południu do gabinetu doktora Ford, i oznajmił mu z bardzo markotną miną, iż uniesiony gwałtowną ku miss Fleming miłością, wyznał jej gorące uczucia swoje, lecz lęka się czy zamiast przyśpieszyć nie zaszkodził tem swej sprawie.

— Jakto! zawołał Ulryk, nie mogę uwierzyć w taką nieprzezorność! miałżebyś oświadczyć się Dorze?

Pan Bertram opuścił nos na kwintę i stuliwszy uszy, zmuszony był wyznać że dopuścił się tej nierozwagi.

— Pośpieszyłeś się zanadto, wszak prawda?... i cóż ci *dziecko* to odpowiedziało?

— Doprawdy... boję się czy miss Fleming nie wzięła słów moich za żart, bo tak bardzo się śmiała...

Ulryk Ford odetchnął swobodniej: nie myślał wcale żenić się ze swoją wychowanką — za nic w świecie nie chciałby jej podobnej wyrządzić krzywdy,—nie chciał także wystawiać się na śmiech osób rozsądnych, ale tak boleśną dlań była sama myśl oddania jej swemu najlepszemu przyjacielowi, iż doznał niejakiej ulgi z tej odmowy, sądząc że mniej cierpieć nie będzie wydając ją za kogoś zupełnie sobie obcego. W takim razie czas jakiś pozostałaby jeszcze w jego domu, rozjaśniając go i ożywiając swoją obecnością, zanim nareszcie opuści go na zawsze.

— Śmiała się, mówisz? Było to bardzo niegrzecznie z jej strony, ale jak ci to powiedziałem gdy pierwszy raz mówiliśmy o tem, Dora jest jeszcze dzieckiem i zupełnie nie spodziewała się twego oświadczenia. Według mnie, postąpiłeś bardzo nieprzezornie oświadczając się tak pośpiesznie, i przyznam ci się nie przypuszczałem że zaraz przy pierwszych odwiedzinach oznajmisz jej twoje zamiary.

— Wierzaj mi że szczerze tego żałuję, odrzekł p. Bertram ze skruszoną miną, ale pewny byłem że miss Fleming pojmowała dobrze w jakim celu przybyłem?

— Jakież wrażenie zrobiło na niej wyznanie twoich uczuć.

— Śmiała się i żartowała, musiałem więc przerwać rozmowę. Ach! jakże to przykro, Ulryku, gdy dziewczę nie chce wierzyć że się mówi seryo.

— Zapewnie, musi to być bardzo niemiłe; cóż teraz zamyślasz?

— Doprawdy, sam nie wiem, odrzekł odprawiony konkurent, szarpiąc z roztargnieniem piękne swoje faworyty myślałem jednak że gdybyś ty chciał z nią pomówić...

— Ja!... czy mam połajać ją za niegrzeczność?

— No, nie koniecznie—ale chciej przedstawić jej jasno moje zamiary, i przełożyć jakie, według twego uznania, związek taki mógłby przedstawiać korzyści. Może dowiedziawszy się że mówiłem poważnie i szczerze, oraz że szczęście całego mojego życia zależy od jej odpowiedzi, możeby zastanowiwszy się nie odrzuciła mego oświadczenia. Zapewnij ją że bardzo jestem do niej przywiązany—wszak miss Fleming tak ślepo słucha rad twoich.

— Tak sądzisz? Może wpływ mój na to dziecko nie jest tak wielkim jak ci się zdaje, ale spełnię życzenie twoje i powtórzę jej wszystko coś mi powiedział, jednakże nie zaraz ale przy pierwszej sposobności. Obecnie, gdybym był na twojem miejscu, zostawiłbym to czasowi.

— Ale nie każesz mi zbyt długo czekać na odpowiedź?

— Nie dłużej niż będzie potrzeba; w tej chwili jestem zanadto zajęty abym mógł dłużej pozostać w domu, a zresztą jest to polecenie nieco trudne do spełnienia, i nie da się wykonać tak natychmiastowo. Muszę się dobrze namyśléć.

— Ale nie zapomnisz o tem? spodziewam się że mogę liczyć na twoje poparcie.

Doktór Ford odkalsnął pare razy, zanim odpowiedział przyjacielowi; bał się aby głos jego nie zadrgał.

— Tak, zapewnie... to jest; pragnę aby wychowanica moja zaślubiła człowieka, który zdoła pozyskać jej serce — jeźli ty, Bertramie, będziesz tym szczęśliwym wybranym, chętniej niż komu innemu powierzę ci moją przybraną córkę.

I Bertram musiał wracać do Oxley, poprzestając jedynie na tem niepewnem zapewnieniu.

V.

Dalszy ciąg dziennika Dory.

Jakże mile przeszły mi pierwsze dni mego powrotu do zdrowia! Tak przyjemnie mi było leżéć sobie na kanapce w saloniku, nic a nic nie robić, a całe zajęcie stanowiło czytanie powieści Dickson'a lub Thackerey'a, i rozmyślanie nad ich utworami. Kuzynka Maryanna bardzo była zgorszoną widząc że czytam podobne książki, ale kuzyn Ulryk kupił mi kilka tych romansów podczas mojej choroby, i za nic w świecie nie chciałam się z nimi rozstać. Leżałam sobie tedy niedbale na sofce w tym pięknym milutkim saloniku, pełnym rozkosznego cieniu i woni jaką wydawały śliczne, ustawione w żardinierkach kwiaty, rozmyślając ze współczuciem o przygodach Filipa i miłości Davida Copperfield, poczem, zapominając o moich bohaterach, cieszyłam się że kuzyn Ulryk się nie ożeni, i ja pozostanę na całe życie najlepszą jego przyjaciółką i troskliwą towarzyszką—a sama ta myśl przepełniała moje serce bezgraniczną rozkoszą. W owym czasie byłam tak szczęśliwa i spokojna iż za największe nieszczęście życzyłam kuzynce Maryannie, aby p. Bertram lub ktokolwiek inny wziął ją sobie i zaślubiwszy wywiózł gdzieś daleko od Rockborough, abym ja mogła pozostać na całe życie sama z kuzynem Ulrykiem. Umysł mój był jeszcze tak osłabiony, iż nie mógł jednocześnie wielu zajmować się przedmiotami, myślałam więc głównie o tem że kuzyn Ulryk nie ożeni się, i wystarczało to dla mego szczęścia, o nic więcej nie dbałam. Nie martwiłam się już nawet tem że kuzyn Ulryk krócej teraz niż dawniej przebywał ze mną, a obejście jego było bardzo ceremonialne.

Wystarczało do mego szczęścia że spoczywam w tym salonie i nikt nie staje między mną a kuzynem Ulrykiem, że żyjemy w jednym domu i że choć raz na dzień mogę popatrzeć na jego twarz pociągającą i sympatyczną. Mówiłam sobie że gdyby, broń Boże! zachorował kiedyś i potrzebował opieki kobiecej, ma ją zapewnioną we mnie. I nie zawahałabym się była ani na chwilę, gdyby mi był ktoś powiedział że tym sposobem poświęcam szczęście całego mego, długiego może życia, a za to skromne aciche zadanie, oddałabym chętnie najświetniejszy los w świecie.

Ale, niestety! po upływie trzech czy czterech dni to szczęście i te rozkoszne marzenia jak mgła się rozwiały. Pewnego poranku spoczywałam sobie jak zwykle w ulubionym saloniku, rozkoszując się *dolce far niente* gdy nagle wpadli do niego pan Bertram i kuzynka Maryanna. Bardzo byłam im nie rada i zawstydzona że mnie zastali leżącą; chciałam powstać aby ich powitać, ale sił mi zbrakło.

— Nie wstawaj, Doro, zawołała miss Ford—choć co prawda, myślę że mogłabyś już zacząć chodzić. Oto pan Bertram przybywa dowiedzieć się o twoje zdrowie, rozerwiesz się miłą i wesołą z nim rozmową, zostawiam więc was razem, bawcie się jak najlepiej, a ja wracam do moich domowych zajęć.

Powiedziawszy to wyszła. W tej chwili przypomniałam sobie niechęć jaką powzięłam do pana Bertram'a podczas ostatnich wakacyj, i przyjęłam go nader oziębłe, na co wcale nie zasłużył, gdyż podczas choroby mojej nader troskliwie dowiadywał się o moje zdrowie. Okazał tak szczere zadowolnienie z mego powrotu do zdrowia, przywiózł bardzo serdeczne listy od siostr i matki, a w dodatku prześliczny bukiet, że powoli lody stopniały i znalazłam wielką przyjemność w wesołej i zabawnej jego rozmowie. Pan Bertram uważany był powszechnie za bardzo dowcipnego, umiejącego opowiadać bardzo wesołe i zabawne anegdoty, a że o ile mi się zdaje, w ciągu tej wizyty robił co mógł aby mi się podobać i zająć, więc poranek zszedł mi bardzo przyjemnie, i nie gniewałam się wcale gdy oznajmił że parę tygodni przepędzi w domu przyjaciela: Ale dobre to wrażenie nie długo trwało; we trzy czy cztery dni potem, usposobienie moje dla pana Bertram'a zmieniło się zupełnie.

Oburzało mnie gdy się przekonałam że zawsze pokój w którym ja przebywam obiera sobie za główną kwaterę, a kuzynka Maryanna zachęcała go jeszcze aby mi się tak narzucał. Od czasu jego przybycia, musiałam rozstać się z moim spokojem i swobodą; nie mogłam czytać ani pisać bo zawsze był przy mnie, i bardzo było mi przykro że kuzynka Maryanna zwaliła na mnie cały ciężar zabawiania gościa, nie zważając że to za wielki ciężar na moje słabe jeszcze siły. Na domiar złego, pan Bertram wyczerpawszy cały swój zapas nowinek, dowcipów i anegdot, zaczął przemawiać w podobny sposób i tak wpatrywał się we mnie, jak w Oxley, co mnie tam już tak bardzo obrażało. Zamiast rozmawiać rozumnie, obsypywał mnie grzecznostkami i pochlebstwami, przeplatanemi nader znaczącemi westchnieniami.

Nieznośnem mi było że przez całe rano siadywał naprzeciwko mnie, udając że czyta, a w rzeczywistości nie spuszczał ze mnie oka, wpatrując się tak natarczywie że nie mogłam podnieść oczu aby się z jego nie spotkać wzrokiem, co uważałam sobie za obrazę. I powiedziałam mu też kilkakrotnie że mi się to bardzo a bardzo nie podoba, że powinienby zabrać swoją książkę i usiąść sobie z nią gdzieś dalej, a widząc że wypomnienia moje nie odnoszą skutku, a rozmowa pana Bertram'a staje się coraz więcej sentymentalną i naszpikowaną coraz wyraźniejszemi komplementami, postanowiłam pozostać w swoim pokoju i wcale nie schodzić do salonu. Kuzynka Maryanna skarżyła się na mnie przed bratem, przyszedł więc rozmówić się ze mną w tym przedmiocie. Przedstawiał mi, ze zwykłą sobie łagodnością i dobrocią, że wszyscy mamy pewne obowiązki względem społeczeństwa, że należy mieć wzajemne dla siebie względy, i jako członkowie wielkiej rodziny ludzkiej powinniśmy poświęcać własne upodobania dla wspólnego dobra. Przyznam się że nic a nic nie pojmowałam, co mogły mieć wspólnego wielkie te powinności z przymuszaniem się do zostawania w pokoju w którym znajdował się pan Bertram — i powiedziałam to otwarcie memu opiekunowi.

— Obrażasz go tak widocznem unikaniem, odrzekł, nie zapominaj że jest on najdawniejszym moim przyjacielem.

— Bardzo wierzę iż jest najstarszym z przyjaciół twoich, kuzynie Ulryku, odparłam nadąsana, świadczą o tem jego podsiwiałe wielkie faworyty.

Zdaje mi się że to odezwanie nie podobało się memu opiekunowi.

— Dziecko jesteś, odrzekł, Wiliam jest młodszy odemnie.

— Bah! a bo to prawda! To pewna że robi co tylko może aby się wydać młodszym niż jest—a dostrzegłszy lekki uśmiech jaki przemknął się po ustach mego opiekuna, ośmielona tem, dodałam: Koniec końcem, kuzynie, nie ulega wątpliwości że pan Bertram jest bardzo, bardzo niemłody, na pod oczami zmarszczki a wczoraj dostrzegłam siwe włosy w faworytach.

— Widać przypatrywałaś im się bardzo uważnie, Doro?

— Alboż mało nastręcza mi do tego sposobności? odrzekłam kwaśno. Cóż mogłoby więcej do kogoś zniechęcić, jak widzieć go wiecznie siedzącego na jednem miejscu, i cały, calutki dzień patrzéć na jedną twarz i zawsze jednakowy uśmiech.

— Przecież nie możesz wymagać aby miał codzień inną twarz, rozsądek ci na to nie zezwala rzekł kuzyn Ulryk z komiczną powagą—i oboje roześmieliśmy się głośno.

— Spodziewam się że odtąd będziesz grzeczniejszą, moje dziecię, i nie będziesz uciekać z salonu, dodał mój opiekun; zwracasz tem na siebie uwagę i dajesz powód do wyprowadzania różnych wniosków, a jestem pewny że sobie tego nie życzysz.

— Czy ten ukóchany twój przyjaciel, kuzynie Ulryku, długo jeszcze zabawi? zapytałam z uporem rozpieszczonego dziecka. Strasznie mi się sprzykrzył, siedzi tu już przeszło tydzień.

— Jeźli przyjaciele tak ci się przykrzą po upływie tygodnia, cóż poczniesz poszedłszy za mąż, i długie, długie lata zawsze jedną twarz miéć będziesz obok siebie?

— Nigdy nie pójdę za mąż, odparłam żywo, a jeźlibym nawet dała się do tego nakłonić, to mąż mój wcale nie będzie podobny do pana Bertram'a.

— I jakaż to będzie między nimi różnica?... zdaje mi się że chyba nie będzie lepiej od Wiliama

— Najpierw nie będzie mnie zmuszać do niezego co mi jest nieprzyjemnem, odpowiedziałam, pieszczotliwie tuląc się do niego. Nie każe mi naprzykład siedziéć w salonie ze swymi starymi przyjaciołmi, mającymi siwe faworyty, ani nic równie nudnego wymagać nie będzie. Powtóre...

Ale kuzyn Ulryk nie poznał drugiego mego wymagania od wzorowego mego małżonka, bo zerwał się prędko z krzesła i rzekł z miłym uśmiechem: iż spodziewa się że jako rozsądna panienka posłucham rady jego i zrobię o co mnie prosił, poczem skinąwszy mi przyjaźnie głową, wybiegł z pokoju.

Wtedy zabrawszy robotę i książki zeszłam do ulubionego salonu, bo nigdy nawet w głowie mi nie powstało aby nie posłuchać rad mego kuzyna, a cóż

dopiero wyraźnego polecenia. Jakby w nagrodę mego posłuszeństwa, w salonie nie zastałam nikogo —pan Bertram wyszedł na przechadzkę.

Ale, niestety! uciecha ta moja nie długo trwała. Nie upłynęło paru godzin a mój podstarzały adonis powrócił, zadowolniony, uradowany, zachwycony że może zanudzać mnie swoją osobą. Przez kilka dni szło to ciągle crescendo, aż nareszcie raz po południu pokłóciliśmy się z powodu tego zawziętego prześladowania, a z kłótni tej o mało nie wywiązały się poważniejsze niżbym chciała następstwa, których tylko dzięki mej szczęśliwej gwiaździe uniknąć zdołałam.

Zupełnie już wtedy przyszłam do siebie, jednak nie wolno mi było wychodzić i tylko codziennie przejeżdżałam się powozem; na nieszczęście dnia tego kuzynka Maryanna pojechała oddawać wizyty, musiałam więc pozostać w domu.

Dzień był bardzo gorący, czułam się jakoś więcej niż zwykle rozstrojona, a że właśnie doszłam do najciekawszego miejsca w powieści, pragnęłam być samą aby ją spokojnie doczytać. Ale po drugiem śniadaniu pan Bertram wszedł do salonu, a spokój i obecność jego były to dwie sprzeczności nie dające się z sobą pogodzić. Niecierpliwiło mnie do najwyższego stopnia słyszeć ciągle nieustanny szelest wielkich stronnic *Times'a* które przewracał prawie co minuta, aby jednocześnie napawać się widokiem mojej uroczej osoby. Ta jego taktyka tak mnie rozgniewała, iż podniosłam książkę tak wysoko aby zupełnie zasłoniła twarz moją, a za każdem skrzypnięciem przewróconej stronnicy, zaciskałam zęby i uderzałam nogą w podłogę, aby mu okazać jak mnie to niecierpliwi i drażni!

— Czy niewygodnie siedzisz miss Doro, zapytał, gdy już trwał z pół godziny prześliczny ów duet wykonywany na posadzce i na gazecie. Pozwól podsunąć sobie podnóżek, — i przyniósł go mówiąc i śmiejąc się zarazem.

— Nie potrzebuję! odrzekłam szorstko; odtrącając nogą podnóżek.

— Może się miss położy na sofie?

— Nie, dziękuję panu.

— Może miss czego potrzebujesz?

— Nic a nic nie chcę, jak tylko skończyć moją książkę.

— Czy tak bardzo jest zajmująca? zapytał odrzucając gazetę i stając przedemną.

Byłam nie żartem rozgniewana. Czemuż nie dał mi spokoju i przerywał czytanie, narzucając się ciągle ze swemi grzecznościami? Nie umiałam zapanować nad sobą i zapominając o wszelkiej grzeczności, odpowiedziałam z porywczością pensyonarki.

— Nie, bynajmniej nie jest zajmujący, i nic nie może być zajmującem gdy pana widzę przed sobą! zawołałam zrywając się z fotela i siadając na sofie. Doprawdy, panie Bertram, wolałabym żebyś pan pilnował swej gazety a nie mieszał się do mojej książki, w której nie ma nic coby pana obchodzić mogło.

— Skądże wiesz o tem, miss Doro? odpowiedział nic a nic nie zdekoncertowany moją porywczością; (wyraźnie przypominam, sobie iż nigdy największa niegrzeczność moja nie zdołała go zmieszać lub rozgniewać, i właśnie ten jednostajny humor jednakowym zawsze odznaczający się uśmiechem, czynił mi go nieznośnym). — Czy myślisz, Doro, iż jestem tak stary że miłość i zakochanie nic mnie nie obchodzi.

— Nic tego nie wiem, bo nigdy ani pomyślałam o tem, odrzekłam opryskliwie; a zresztą miłość nie ma nic wspólnego z książką którą czytam.

— Doprawdy?... a! to jakiś szczególniejszy romans... w każdym razie sądzę że miłość odegra swoją rolę w przyszłości twojej, miss Doro?

Nie raczyłam odpowiedzieć na to.

— Czy nigdy nie pomyślałaś o tem, miss Doro, że przyjdzie chwila kiedy będziesz mieć dom własny i będziesz w nim rządzić.

— Nie mam najmniejszej ochoty być panią domu, ale natomiast bardzo życzyłabym sobie żebyś pan poszedł sobie na przechadzkę.

— Pójdę o zwykłej godzinie. Więc nie masz zamiaru nazwiska swego zamienić na inne?... chciałabyś, miss Doro, zostać starą panną jak... jak...

— Kuzynka Maryanna?... a to bardzo grzecznie —nie omieszkam jej tego powtórzyć.

— O! nie czyń tego, miss Doro; nigdy nic podobnego nie pomyślałem o miss Ford... Ona zapewnie niedługo pójdzie za mąż, i...

— Dla czegobyś pan nie miał się z nią ożenić? zawołałam, nie tyle w zamiarze powiedzenia mu niegrzeczności, jak chcąc przerwać niemiłą mi rozmowę; ale pan Bertram odpowiedział poważnie, nie poznając się na żarcie.

— Bo serce moje nie należy już do mnie, a więc oddać go jej nie mogę. Od dawna już zabrała mi go osoba nic nie podobna do miss Ford, i jeźli osoba ta w zamian nie odda mi swego, nie zaznam szczęścia na ziemi.

Powiedzenie to wydało mi się tak śmiesznem, że głośnym wybuchnęłam śmiechem.

— Z czego się śmiejesz, miss Doro, zapytał żywo; cóż tak śmiesznego upatrzyłaś w słowach moich?

— Śmieję się z tej zamiany serc o jakiej pan mówisz. Spodziewam się że zrobisz pan dobry interes i nie stracisz na zamianie.

— Nie wątpię o tem bynajmniej, jeźli zdołam pozyskać serce którego pragnę, odrzekł najpoważniej w świecie, nie domyślając się że z niego żartuję. Młodziutkie to jeszcze i niekiedy bardzo lekkomyślne serduszko, ale w każdym razie jest to najdroższy skarb jaki spotkałem kiedykolwiek.

— Doprawdy! Ale spodziewam się że to tak drogocenne serce pokryte jest równie nieocenionem ciałem, bo w żaden sposób nie mogę sobie wyobrazić serca uwijającego się po plebanii, bez cielesnej powłoki—wydaje mi się to jakoś dziwacznie i śmiesznie... No, ale dostawszy raz to serce, jakże go pan przyrządzisz?—w potrawce czy pieczone jak to zrobiono w Anvers; ale uprzedzam pana że miało być bardzo niesmaczne.

— Jest prawie niepodobieństwem aby serce o którem mówię mogło być piękniejsze od osłaniającego je ciała, zawołał pan Bertram zbliżając się ku mnie coraz więcej. A! jakże pragnąłbym to serce i to ciało widzieć w mojej plebanii w Oxley!... czy przybędą one tam, Doro? czy zaniechasz zamiaru zostania starą panną i zechcesz uczynić mnie najszczęśliwszym śmiertelnikiem z trzech połączonych królestw?...

— Ja! ja!... więc to o mnie mówiłeś pan cały czas?... zawołałam zdumiona tem oświadczeniem.

Nie mogłam teraz nie rozumieć jego zamiarów i pojmowałam doskonale że nie powinnam śmiać się w podobnej chwili; ale przypomniałam sobie szumne jego frazesa o zamianie serc oraz żart jakim odpowiedziałam na nie; i wyraźnie widziałam ten organ życia pozbawiony ciała skaczący po plebanii, i zaraz przyszło mi na myśl że zapytywałam jaki zarządzi z niego przysmaczek—wtedy ogarnął mnie tak niepohamowany śmiech nerwowy, iż w żaden sposób powstrzymać go nie mogłam—co zmięszało i zarazem obraziło bardzo pana Bertram'a.

— Jeźli w podobny sposób traktujesz najważniejszy przedmiot o jakim kiedykolwiek rozmawiałem z tobą, miss Doro, jeźli obracasz go w śmieszność —mówił mocno dotknięty i zaczerwieniony jak piwonia, nie pozostaje mi...

— Oh! przebacz mi pan, proszę! zawołałam starając się powstrzymać wybuch śmiechu, gdyż obawiałam się aby kuzyn Ulryk nie rozgniewał się na mnie, gdy się dowie jak niegrzecznie obeszłam się z *jego najdawniejszym przyjacielem...* Przebacz mi, panie Bertram'ie, nie sądziłam że... Lecz, niestety! mimo największych usiłowań aby zacisnąć usta, nieposłuszne ich mięśnie zapanowały nad wolą moją, i gwałtowniejszym jeszcze wybuchnęłam śmiechem.

— Czy powiedziałem coś tak niesłychanego, miss Fleming? zapytał pan Bertram, i odsunąwszy się od kanapy zaczął chodzić po salonie.

— Nic... och nic! odrzekłam zawsze zanosząc się szalonym śmiechem którego stłumić nie mogłam,— tylko że ja... w plebanii... czy pojmujesz pan?... Pan nie mówiłeś tego na seryo... wszak prawda, że to żart tylko.

— Mówię zupełnie seryo, odrzekł z gniewem, i gdybyś nie była dzieckiem, miss, zrozumiałabyś to od dawna. Jeszcze na Boże Narodzenie, starałem się dać ci poznać moje uczucia...

— Oh! proszę na wszystko, nie mów pan już o tem ani słowa — wyszeptałam, czując że znów ogarnia mnie niewczesna wesołość i chęć szalonego śmiechu, i że gdyby rozwinął cały dar swojej wymowy i choćby do zachodu słońca przemawiał do mnie w swej sprawie, wywoła tylko coraz gwałtowniejszy napad śmiechu —osądziłam że odwrót czyli ucieczka jedynym jest środkiem ratunku.

— Pozwól mi pan przejść do mego pokoju, rzekłam, przyznaję że byłam bardzo niegrzeczna, ale też nie masz pan pojęcia jak bezmierne prawiłeś mi niedorzeczności.

— Bezmierne niedorzeczności! powtórzył. Czyż w żaden sposób nie możesz tego pojąć, miss Fleming, że ofiarując ci serce moje i rękę...

— Och! przez litość nie wracajmy do tego przedmiotu! zawołałam przesuwając się przed nim jak strzała. Zapewniam pana że nic a nic nie wierzę temu coś mówił, a i pan uczynisz to samo gdy się zechcesz zastanowić trochę.

To powiedziawszy, wybiegłam prędko, udając się do mego pokoju. Gdy już znalazłam się w mojej fortecy, wesołość mnie odbiegła, uczułam się bardzo znużoną. Nie byłam wcale dzieckiem, jak to powiedział mój wielbiciel, zrozumiałam doskonale że pragnie mnie poślubić ale sama myśl abym miała zostać misstres Wiliamową Bertram i zamieszkać na plebanii w Oxley, z mężem mającym podsiwiałe faworyty, i mieć cały ród Bertram'ow, ojcem, matką, bratem i siostrami, wydała mi się tak ucieszną i bezrozumną, iż podobną propozycyę nie za zaszczyt ale za obrazę uważałam sobie.

Czy to słychana rzecz, mówiłam sobie, aby taki stary kawaler jak pan Bertram, mógł żądać od tak młodej jak ja dziewczyny, aby zagrzebała się z nim w takśmutnej miejscowości jak Oxley, wyrzekając się zupełnie wszelkiego towarzystwa?... Możeż on myśleć że pragnę zamieszkać w tej starej, ponurej plebanii, opuścić mego kuzyna i całe dnie poświęcać karmieniu jego kur, i obieraniu z liszek jego

sałaty i kapusty? A! to mi dopiero piękna perspektywa! jakże to świetne stanowisko dla osoby w mo-im wieku! i możnaż żądać aby opuściła wszystko co kocha, dla zostania gospodynią domu człowieka trzy razy starszego od niej... I jak też panu Bertram mogło przyjść do głowy że przyjmę kiedykolwiek jego oświadczenie? dziwne jakieś ma wyobrażenie o moich pragnieniach i upodobaniach!...

Oto jakie myśli zbudziło we mnie oświadczenie pana Bertram, a im więcej zastanawiałam się nad niem, tem za większą poczytywałam je sobie obrazę. Pod wpływem tego złego usposobienia, zadawałam sobie pytanie co mogło ośmielić tego starego adonisa do tak ubliżającej mi propozycyi, i płakałam z gniewu i ze złości na samą myśl że znowu spotkam się w salonie z tym natrętnym wielbicielem, i będę zmuszona spełniać względem niego obowiązki grzeczności.

Ale nie było sposobu uwolnienia się od tego utrapienia, tego dnia właśnie był u nas wielki obiad proszony, i kuzynka Maryanna postanowiła że po raz pierwszy mam zasiąść w gronie biesiadników. Sądzę że przykrzyło jej się urządzanie dwóch obiadów, a nadto, ponieważ kuzyn Ulryk żądał abym po obiedzie zeszła do salonu, uznała więc zapewnie że jestem już w tym wieku że można uważać mnie za słuszną pannę, tem więcej że bywające u nas osoby podziwiały mój wzrost, postawę, zachowanie i t. d. Dość że tego właśnie wieczora miałam być wprowadzoną w świat, co prawda miniaturowy, ale zawsze był to ważny krok w mojem życiu.

Joanna oddała mi do rozporządzenia swoje talenta i zdolności, i podczas gdy byłyśmy zajęte przygotowaniami mojej toalety, cieszyłam się w duchu że obecność osób obcych nie dozwoli panu Bertram'owi mówić mi coś o tem co zaszło między nami, ani też zawiadomić o tem kuzyna Ulryka. Obawiałam się niewymownie aby kuzyn Ulryk nie dowiedział się o czułościach i banialukach jakie wypowiedział mi jego przyjaciel, i o niegrzecznej odprawie jaką mu dałam. Wiedziałam jak wysoko opiekun mój cenił przyjaźń pana Bertram'a, jak pragnął abym zachowywała się zawsze jak osoba dobrze wychowana; tak więc szorstkość i niegrzeczność moja musiałyby ściągnąć na mnie jego niezadowolnienie. Czując że miałby prawo spojrzéć na mnie surowo, byłam mocno wzruszona i niespokojna; to też ubrawszy się, co prędzej zbiegłam do salonu, aby zobaczyć się z moim prześladowcą zanim inni goście przybędą. Chciałam prosić go, aby jeżli pragnie zachować przyjaźń moją, nie dał poznać ani słowem ani spojrzeniem o tem co między nami zaszło.

Ale z wielkiem mojem zadziwieniem, nietylko nie zastałam w salonie pana Bertram'a, ale i później się nie pokazał. Zaproszeni, dziesięć czy dwanaście osób, przychodzili z kolei, i z kolei podziwiali mój wzrost i piękność—ale ten którego oczekiwałam nie przyszedł wcale, i ani mój opiekun ani kuzynka Maryanna żadnem słówkiem nie wytłomaczyli jego nieobecności. Gdy mieliśmy przejść do sali jadalnej, pan Austin podał mi rękę i poprowadził do stołu. Jakże dumną się czułam że prawdziwy gentleman prowadzi mnie z taką paradą!

— Nie ma widzę pana Bertram'a, zapytałam mego towarzysza gdyśmy siadali do stołu.

— Zapewnie się spóźnił, odrzekł obojętnie; jakże piękną różę masz we włosach, miss Fleming, dodał po chwili.

— Pan Bertram powrócił do Oxley, rzekła kuzynka Maryanna, tonem tak lodowatym iż mógłby zamrozić szampańskie wino.

Zdziwiona niespodziewaną tak oschle zwiastowaną mi wiadomością, mimowolnie spojrzałam na kuzynkę Maryannę idostrzegłam w jej twarzy ostry wyraz niezadowolnienia, gniewu i zawiedzionej nadziei, co kazało mi wnosić że odgadła powód tego nagłego odjazdu lub dowiedziała się o nim od pana Bertram. Nie bardzo troszczyłam się o niezadowolnienie mojej kuzynki, ale wnosiłam że skoro ona wie to i brat jej musi wiedzieć, i obawiałam się niewymownie że ściągnę na siebie gniew lub naganę mego opiekuna, za to pozbawienie go miłej nieobecności przyjaciela.

Jakiejże błogiej doznałam ulgi, spostrzegłszy podczas obiadu że w twarzy mego kuzyna nie ma ani śladu niezadowolnienia lub surowości, i przeciwnie nigdy może nie był tak wesół i w tak dobrym humorze; zdawało mi się nawet że gdy parę razy oczy nasze spotkały się z sobą, skinął na mnie przyjaźnie i jakby porozumiewająco. Wtedy zwróciłam wzrok na kuzynkę Maryannę, a sprzeczność zachodząca zawsze między bratem i siostrą była teraz widoczniejszą jeszcze; jej ostre, rzucane na mnie spojrzenia, nietylko ani trochę nie stały się łagodniejsze, ale nawet większej jeszcze nabrały surowości i cierpkości. Jeżli powodem tej niechęci i gniewu było zachowanie się moje względem pana Bertram, dla czegóż opiekun mój nie podzielał jej niezadowolnienia i miał tak uradowaną minę? Nie podlegało wątpliwości iż gniewało ją to że pan Bertram opuścił Rockborough, ale pragnęłam sprawdzić czy zna powód nagłego tego odjazdu, i czy zawiadomiła o nim brata.

Obawiając się że nie zasłużyłam na przyjazne i dobrotliwe spojrzenia i uśmiechy mego opiekuna, nie śmiałam zwracać na niego oczu tak często jakbym pragnęła, ale ilekroć spojrzałam na niego spotykałam zawsze wzrok jego utkwiony we mnie, jak gdyby pragnął oswoić się z tym nowym dla siebie widokiem, że zasiadam przy stole razem z jego gośćmi. Skończył się nareszcie nader długi obiad, nudny i nużący jak zazwyczaj obiady kuzynki Maryanny, a po nim nastąpić miał nudniejszy jeszcze, jeżli być może, wieczór w salonie. Gdy panie wstawszy od stołu przeszły do salonu, sądziłam że korzystając z tej sposobności, kuzynka Maryanna szepnie mi pare słówek tłomaczących jej niezadowolnienie—zawiodłam się—rozmawiała z paniami, najmniejszej na mnie nie zwracając uwagi, nie mówiąc do mnie ani słowa. Zwykle ona prosiła mnie abym usiadła do fortepianu — teraz opiekun mój musiał ją zastąpić.

I tak upłynął cały wieczór; kuzyn Ulryk był ciągle bardzo wesoły, kuzynka Maryanna zimna i wyniosła jak od początku obiadu, ale ani on ani ona nie wypowiedzieli ani słówka odnoszącego się do odjazdu pana Bertram i prawdopodobnej jego przyczyny.

VI.

Z pamiętnika Dory.

Tak samo upłynęły dni następne, gdyż ja unikałam wszelkiej wzmianki o panu Bertram, a zdawało się że kuzyn Ulryk i miss Ford umówili się z sobą aby nie wspominać o nim wcale. Tak uparte milczenie o tem co w innych okolicznościach posłużyłoby nam bezwątpienia za przedmiot choćby krótkiej rozmowy, utwierdziło mnie w przekonaniu że wiedzieli więcej o powodach nagłego oddalenia się pana Bertram niż to przyznać chcieli. Prócz tego zaszła bardzo widoczna zmiana w postępowaniu ze mną kuzynki Maryanny; znikła bez śladu życzliwość którą mi okazywała od paru tygodni, a jakkolwiek nie śmiała mnie łajać jak to było w początku naszej znajomości, w jej wychodzeniu ze mną było coś tak sztywnego, tak lodowatego, że musiałoby to drażnić nawet osobę mniej odemnie drażliwą.

Zdawało mi się że powodem tej nagłej i tak przykrej dla mnie zmiany, muszą być jakieś fałszywe wiadomości o mojej rozmowie z panem Bertram; zapewnie ten odtrącony wielbiciel musiał jej przedstawić rzeczy niedokładnie, i niekorzystnie dla mnie. Wydawało mi się to nikczemnem, niegodnem człowieka zajmującego takie stanowisko jak pan Bertram, i miałam do niego żal za to że uskarżał się na mnie przed kuzynką Maryanną, i że ją rozdrażnił przeciwko mnie, przedstawiając jej, zapewnie z przesadą, moje niegrzeczne zachowanie się względem niego, gdy mi wyznał swoje dla mnie uczucia.

Nie przyszło mi nawet na myśl że jedynym powodem jej gniewu, było to że mu odmówiłam, bo dlaczegóż miała pragnąć abym poszła za mąż, co jej mogło na tem zależyć abym się usunęła z domu? Zdawało mi się przeciwnie że wyśmiewałaby się ze mnie, i bardzo słusznie, gdybym zgodziła się na podobny związek, że nazwałaby go najśmieszniejszym i najniedorzeczniejszym ze wszystkich jakie są i były na świecie, że jestem jeszcze dzieciakiem niezdolnym odróżnić ręki prawej od lewej, i że właściwiej byłoby mi kupić lalkę, niż wydawać za mąż i kazać mi zarządzać domem.

Zresztą dawała mi to zawsze poznać że nie uważa mnie jeszcze za dorosłą pannę, jakże więc mogłaby pragnąć ażebym zaślubiła człowieka dwa razy odemnie starszego; dla tego też sądziłam że się gniewała o to tylko że byłam niegrzeczną dla pana Bertram, że zaś nie wiedziałam co jej o mnie powiedział, pragnęłam bardzo dowiedzieć się tego, a zapytać się nie miałam odwagi. Kuzynka Maryanna obwarowana tak zwanem przez siebie pełnem godności milczeniem, była podobną do fortecy którą trudno było zmusić do poddania za pomocą oblężenia, wszelkie półsłówka, napomknienia nie wywierały żadnego skutku, nie zwracała na nie uwagi, odbijały się od jej słuchu jak śrót od murów warowni. Nie było więc innego sposobu jak od razu, śmiało przystąpić do szturmu, ale niestety! trzebaby następnie porozumiewać się, tłomaczyć, co znów byłoby dla mnie bardzo kłopotliwem; gdyż jakkolwiek wydawało mi się to niewłaściwem że pan Bertram oświadczył się o mnie, jakkolwiek uważałam że podobna propozycya była dowodem niepochlebnego wyobrażenia o moim guście, nie mogłam zataić przed sobą że ja także postąpiłam bardzo niestosownie, i dla tego pragnęłam zapomnieć jak najprędzej o tej całej sprawie.

Gniewało mnie bardzo postępowanie mojej kuzynki, bo jeżeli miała mi coś do zarzucenia to czemuż nie wypowiedziała tego szczerze, otwarcie, zamiast dąsać się na mnie. W końcu przyszło do tego że postanowiłam wyrzec się spacerów które odbywałyśmy razem, bo cóż mogło być nieznośniejszego dla osoby z mojem usposobieniem, nad to przymusowe stosowanie się codzień przez parę godzin do reguły Trapistów, siedząc w powozie obok towarzyszki milczącej jak posąg.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 47.

(Dokończenie).

Przody i plecy krają się w całej długości podług formy, zaś boki Fig 83 dopełnione są na długość częścią fałdowaną, której wymiar podaje zmniejszony format Fig. 84; brzegi boczne tej części zszywają się z przodami i plecami od góry zaś podszyta jest kieszeń z podszewki, 14 cent. głęboka. drugim brzegiem przyszyta do boczka, zachodzącego naksztalt klapy na część fałdowaną. W klapce tej obrobiona dziurka a na środkowej fałdzie przytwierdzony odpowiedni guzik. Kapturek przez szew od 8 — 9 założony jest w róg, w górnym wykroju trochę przemarszczony i wszyty pod wykładanym kołnierzem.

N. 20. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.

Odrobiona z materyału gładkiego i w rzucik zdobna wąziutkiem i szerokiem plisowaniem. Łatwe wykończenie nie wymaga opisu; krój stanika dobrać można podług form podawanych na arkuszach.

N. 26 i 32. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3 — 5. Krój na arkuszu Nr VII, Fig. 42 — 47, kapturka Fig. 40.

Uszyty z materyału wełnianego bronzowego, przerabianego w kolorze nitki, na podszewce ponsowej flanelowej. Długość płaszczyka dopełniona plisowaniem wpuszczonem między wierzch i podszewkę, ufałdowanem z kawałka 225 cent. długiego. Brzegi pelerynki podszyte listewką i przestębnowane kilkakrotnie; kapturek przykrojony podług Fig. 40 ma wyłożenie atłasowe bronzowe a brzeg wywinięcia przemarszczony z nagłówkiem; guziki metalowe służą do zapięcia i zdobią kieszonki i mankiety

N. 27 i 33. Paletocik dla chłopczyka lat 4 — 6. Krój na arkuszu Nr V, Fig. 29 — 34.

Z ciemno popielatego materyału zdobny takimż pluszem i ładnemi rogowemi guziczkami. Na Fig. 29 oznaczone są przecięcia na kieszonki, wzdłuż których przyszyte są klapki. Fig. 32 daje spodnią połowę podwójnego kołnierza, zwierzchni dodany jest z pluszu; na rękawach naszycie 10 cent. szerokie naśladuje wykłady.

N. 28. Ubranie dla dziecka lat 1 — 4.

Dla małych dzieci zarówno dziewczynek jak chłopczyków stosowne są spódniczki fałdowane i bluzki ściągane w pasie na elastykę; spódniczka z bluzką spinają się na guziki. Kołnierz marynarski spięty kokardą ze wstążki.

N. 29. Paletocik i mufka dla małej dziewczynki.

Uszyty z piaskowego wełnianego materyału i ozdobiony piaskowym repsem i pluszem, ma przody odcinane, naśladujące kaftanik, którego brzegi otacza kilka rzędów stębnówki. Przybranie repsem wskazuje rycina 29. Mufka zawieszona na sznurze z kwastami jest z tego co paletocik materyału, objęta szeroko pluszem, brzeg kołnierza i mankietów równie pluszem oszyty.

N. 30 — 31. Paletocik dla młodej panienki. Krój na arkuszu Nr XIII, Fig. 76 — 81a.

Krając go podług formy trzeba dopełnić miary długości i szerokości dolnej; model był koloru bronzowego z takimże pluszowym kołnierzem z ranwersami, obłożeniem mankietów i klapkami przy kieszeniach 20 centym. szerokich a 14 długich. Guziki wielkie metalowe.



N. 1. Ubranie balowe z okryciem z białego kaszmiru.

N. 2. Ubranie wieczorowe z podwójną szalową tuniką.

N. 34. Suknia ze stanikiem z baskiną i spódnicą z draperyą. Krój i przód na arkuszu Nr XII, Fig. 67 — 75.

Stanik z boku zapięty kraje się podług Fig. 67 — 73 a kołnierz wykładany podług Fig. 105. Do fałdowanej baskiny pleców dodana jest od spodu część fałdowana podług Fig. 71 złączona z boczkami Fig. 69 od gwiazdki do dwukropka. Spódnica plisowana obszyta jest u dołu skosem 14 cent. szerokiem z materyału w kratę. Draperya naszyta wprost na sukni kraje się podług miar podanych na zmniejszonym formacie Fig. 74: *a* daje połowę przodu, który z boków przemarszczony jest drobniutko na 21 centym. wszerz i sfałdowany brzegiem do 34 cent. długości, u góry zaś zaszyty odpowiednio do figury i wszyty w pasek razem z suknią; podług *b* krają się małe boczne części draperyi, które podług ryc. 34 zachodzą pod przód i z obydwóch brzegów skośnych są równo sfałdowane. Tylna górna część draperyi kraje się podług *c*, fałduje tylko w górze z boków i przyszywa na sukni; część *d* przyczepia się u samego dołu, fałdując z jednego boku a rogiem spuszcza na dół.

N. 35 — 36. Opis na arkuszu z krojami.

N. 37. Suknia z draperyą i stanikiem z odcinaną baskiną. Krój i plecy na arkuszu Nr II, Fig. 6 — 16.

Na to ubranie użyty materyał gładki i w kratę; stanik kraje się podług Fig. 1 — 14; odcinaną baskinę pasuje się podług odpowiednich liter a z przodu podszywa materyałem w kratę i wywija. Krótka spódnica układana w odstępach 4 cent. w kontrafałdy 7 cent. szerokie, naszywane z wierzchu pasami materyału w kratę. Krótką draperyę upina się wprost na sukni, krając podług miar wskazanych na Fig. 15; *a* oznacza połowę przodu sfałdowanego z boków do 38 cent., *b* górną część tylnej draperyi sfałdowaną u góry i u dołu, u góry wszytą w pasek razem z suknią, dolnym brzegiem zaś przyszytą krytym szwem do sukni. Podług *c* kraje się dolną część draperyi sfałdowaną u góry, z jednego boku od dwukropka do gwiazdki podszytą materyałem w kraty, następnie złożoną gwiazdką do gwiazdki i podpiętą w górę przyczem część podszyta odwija się na wierzch a brzeg dolny schodząc się z gładkim bocznym brzegiem zdaje się być przypięty guzikami do sukni.

N. 40. Płaszczyk z dolmanowemi rękawami. Krój i przód na arkuszu Nr X, Fig. 58 — 63.

Przybranie płaszczyka stanowią piękne szmuklerskie guziki i szmuklerska riusza ze świecącej karbowanej plecionki, z kwaścikami ze szneli zakończonej grelotkami. Zestawienie pojedynczych części kroju dopełniają się podług odpowiednich liter, a wszystkie szwy od spodu podszywa się taśmą, lub skośną listewką 2 cent. szeroką, zaś brzegi przednie i u rękawów atłasem.

N. 41. Płaszczyk obłożony pluszem. Krój na arkuszu Nr XX, Fig. 109.

Dopasować go można podług formy załączonej w naturalnej wielkości do ryc. 11 — 12 w Nrze 46, a zmiany zachodzące w kroju odznaczone są linją kropkowaną na Fig. 109; szeroki kołnierz pasuje się podług Fig. 62.

N. 42. Ubranie z vetement, kapturkiem i paskiem ze sznura.

Odrobione z ciemno zielonego kaszmiru ma długie, z tyłu lekko podpięte vetement, przykrojone formą princesse i zapięte z boku na guziki z ciemnej konch perłowej. Ponieważ przody vetement rozchodzą się u dołu, widać więc spódniczkę całą plisowaną. Rękawy z wy[illegible]em 11 centym. szerokim dopełnione są od środka obcisł[illegible] mankietem, sięgającym aż do ręki.

N. 43 — 46. Suknia ozdobiona haftem złotym. Krój deseń i przód sukni na arkuszu Nr XIX, Fig. 103 — 10[illegible].

Wytworne przybranie sukni z cienkiego ciemno bronzowego kaszmiru, stanowi aksamitny kołnierz, wykłady i klapki haftowane złotem. Fig. 105 — 106 załącza deseń i formę dwóch pierwszych części, klapki zaś wyszyte są podług ryc. 46. U dołu sukni dane wąziutkie plisowanie atłasowe, a nad niem dwie po 30 cent. szerokie plisowane falbany. Fig. 107 załącza wskazanie kroju i wymiar tuniki, ułożonej na sukni w odstępie 16 cent. od paska. Litera *a* oznacza połowę przodu przemarszczonego środkiem kilkakrotnie. a z boków sfałdowanego; *b* wskazuje prosty bryt tylny upięty podług ryc. 43. Zmniejszony format kroju Fig. 103 ułatwia zestawienie części stanika i baskiny, która podana jest na Fig. 104.

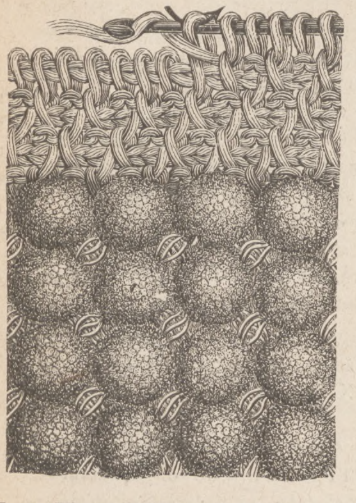
N. 44 — 45. Desenie haftu złotem na stojące kołnierzyki. Patrz Fig. 114 — 115.

Rycina 44 i 45 dają część deseni na kołnierzyki stojące, które wraz z odpowiednio wyszytemi mankietami stanowią modne przybranie staników do sukien lub trykotowych. Na rycinie 44 widzimy wyszycie złot m sutaszem i kolorowym jedwabiem a ryc. 45 przedstawia haft z bajorku.

N. 47 — 56. Pasmanterye i frendzle.

Na rycinie 47 i 48 przedstawiamy dwa kwaściki z jedwabiu, szneli i perełek odpowiednie do zakończenia sznurów jedwabnych używanych do przybrania sukień, Rycina 51 — 53 podaje wzory wspaniałej pasmanteryi wyszytych ściegiem łańcuszkowym lub płaskim i ozdobio-

nych perełkami lub bez takowych; kontury wyszyte są nitką złotą, środki zapełnione kolorowym cieniowanym jedwabiem, perełki złote lub t. p. Haft skończony pociąga się z lewej strony klejem i wycina podług deseniu. Na rycinie 54 widzimy czarną koronkę wyszytą nitką złotą i perełkami tudzież cieniutkim sznureczkiem czarnym kręconym z nitką złotą.



N. 3. Tło szydełkowe i szlak robotą w ramach do ryc. 37 i 40 w N-rze 49.

Opis do N-ru 48.

N. 1. Ubranie balowe z okryciem z białego kaszmiru.

Spódnica białej tarlatanowej sukni z przodu zupełnie pokryta jest plisowanemi falbankami, naszytemi od dołu prosto, wyżej aż do pasa i bufowaniem dopełnionemi. Tylny bryt powłóczysty przepinany kwastami. Głównie jednak zwracamy uwagę na śliczne balowe okrycie z białego kaszmiru, z białą jedwabną podszewką, bogato wyszyte złotym sutaszem i oszyte frendzlą jedwabną przerabianą złotym sznureczkiem.

N. 2. Ubranie balowe ozdobione dwoma szalowemi draperyami.

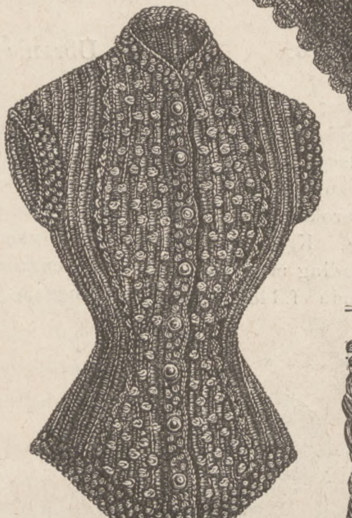
Suknia odrobiona była podług formy princesse, która jednak tylko do długości stanika z bardzo długą baskiną była widoczną dalej zaś spódnicę pokrywało ubranie układane w szerokie kontrafałdy, w odstępie 12 cent. od dołu 3 razy na falbankę przestębnowane i podszyte 10 cent. szerokiem plisowaniem. Model sukni odrobiony był z blado niebieskiego jedwabnego repsu, a dwie szalowe draperye przepinane kokardami z szerokiej atłasowej wstążki, były z gazy jedwabnej niebieskiej, srebrem przerabianej, oszyte frendzlą mieszaną ze srebrem. Z takiej gazy przepinanej kokardami, ułożona berta na staniku i krótkie rękawki. Długie rękawiczki garnirowane koronką srebrną



N. 5. Ząbki szydełkowe do ryc. 4.



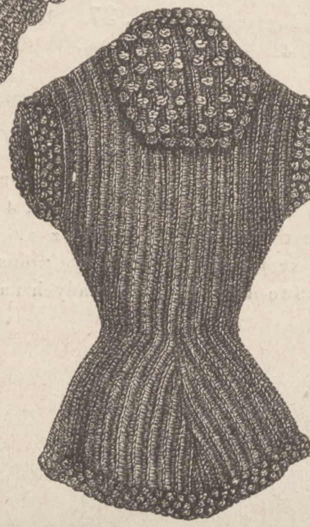
N. 4. Pelerynka szydełkowa.



N. 7. Kaftanik szydełkowy. Patrz ryc. 8—9.



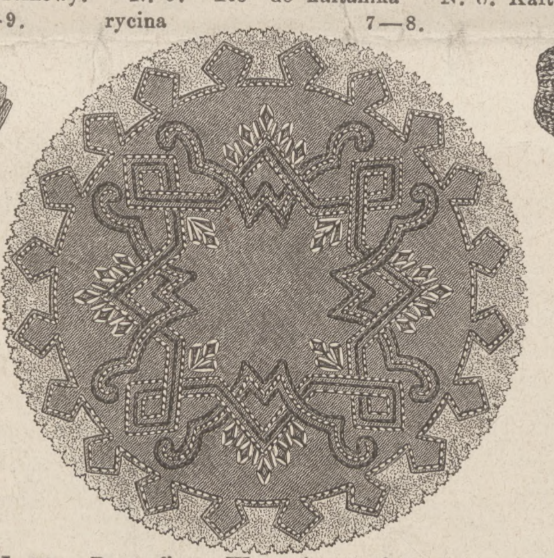
N. 9. Tło do kaftanika rycina 7—8.



N. 8. Kaftanik szydełkowy



N. 10. Pończoszki dla dziecka.



N. 12. Patarafka. Wyszycie na skórze z przekłutemi na deseń dziurkami.



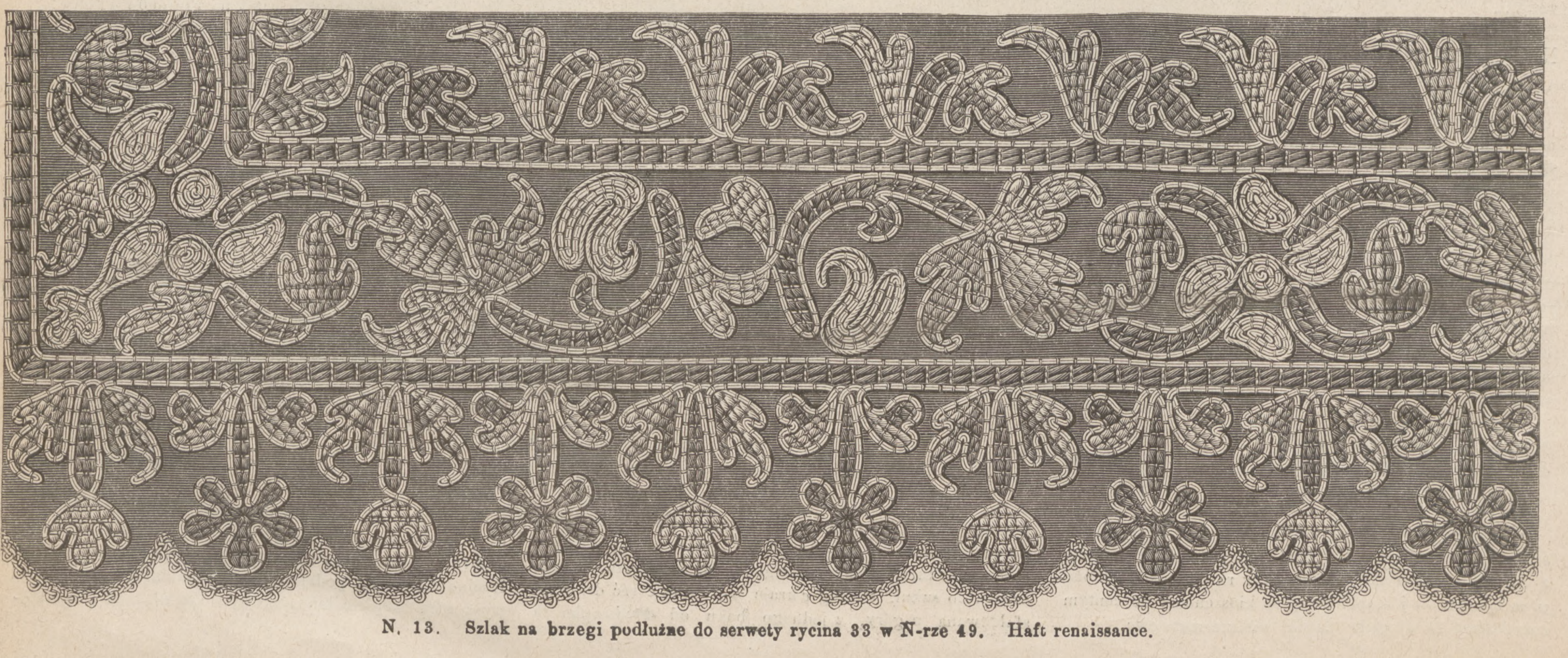
N. 11. Rękawiczka włóczkowa dla dziecka.

N. 4—6. Peleryna szydełkowa, robiona włóczką angielską i filozelą.

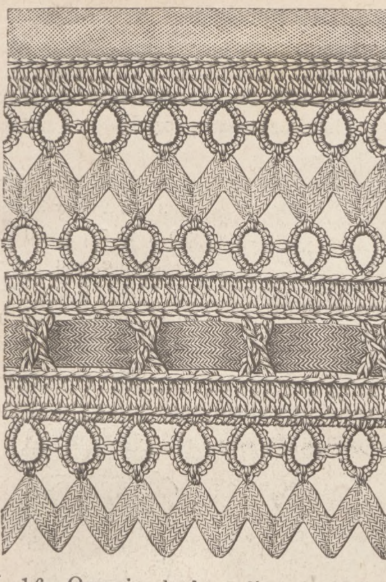
Tło peleryny robione jest dwoma rodzajami odmiennych ściegów, które w połączeniu dają ładny deseń w paski. Jak to widać na próbce naturalnej wielkości ryc. 6, dwa rzędy ściegu gwiazdkowego i 3 rzędy ściegu karbowanego, powtarzają się ciągle naprzemian; obadwa ściegi są już oddawna znane i łatwo podług próbki mogą być odrobione. Pelerynkę zaczyna się od góry na o. 105, a dla rozszerzenia stopniowego do dołu przybiera się w rzędach karbowanych 1-no oko na początku i w końcu, po pierwszem i przed ostatniem oczkiem, oraz dwa o. w oko środkowe pleców. Na ramionach przybiera się w 22 obrobieniach (licząc w to i rzędy dwunitkowe) zaczyna się przybieranie w odstępie 26 o. od środka a dalej wypada jedno pod drugiem. W rzędach gwiazdkowych z brzegów na ramionach i w środku pleców, przybiera się tylko co drugi rząd, przyczem nitkę na nowo się przywiązuje, robi 4 o. pow. z których 3 pierwsze łączy jedną pentelką na nową gwiazdkę; takim samym sposobem dodaje się gwiazdki na końcu. Dalej przybiera się tylko w środku pleców i po brzegach z przodu, a po 48 obrobieniach pelerynka jest skończona. Do wykroju szyi dodaje się rodzaj paska złożonego z czterech tam i napowrót robionych o. śc. rzędów, które cokolwiek wykrój zwężać powinny; brzegi pelerynki obrabia się raz o. śc. a następnie pikotami. Szlak robi się oddzielnie podług próbki ryc. 5, a następnie przyszywa go lub przyrabia do pelerynki. Zęby szlaku początkowo spuszczają się luźno jedne nad drugiemi, a następnie dopiero zeszywają z lewej strony w sposób na pierwszym zębie próbki wskazany. Do dołu daje się cztery rzędy zębów, przy wykroju szyi dwa. Na modelu w szlaku dolnym było 46 zębów, a że na każden trzeba 8 o. łańcuszka, więc zaczęcie każdego rzędu liczyło o.



N. 6. Tło szydełkowe w pasy, do peleryny ryc. 4.

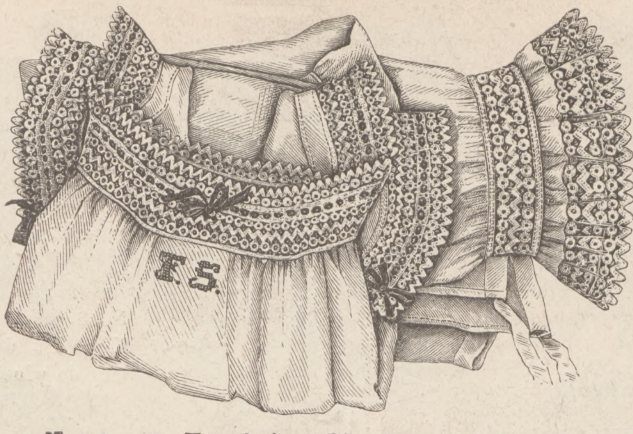


N. 13. Szlak na brzegi podłużne do serwety rycina 33 w N-rze 49. Haft renaissance.

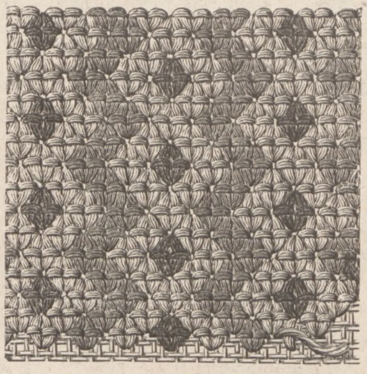


N. 16. Oszycie do koszuli rycina 14. Friwolitki, robota szydełkowa i tasiemeczka w ząbki.

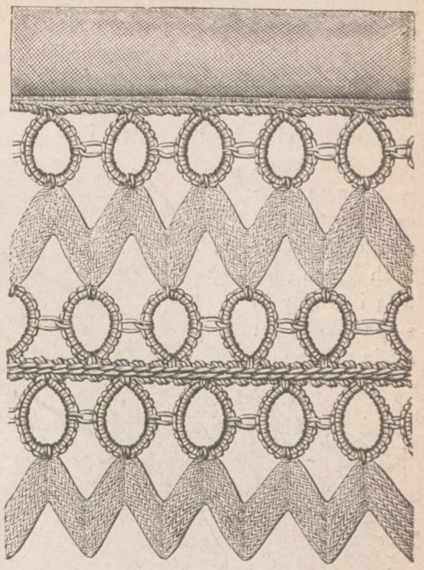
368. Na każden ząb robić * 1 o. śc. w o. łańcuszka, 2 o. powietrzne opuścić 1 o. łań. zrobić 5 sł. w 5 o. następnych, 2 o. pow. 1 o. łań. opuścić i powtarzać od gwiazdki. Na każden z wzmiankowanych wyżej słupków po zarzuceniu nitki na szydełko przeciąga się dwa razy pentelki w 1-no o. łańcuszka potem przerabia się takowe razem 1 o., które zatrzymuje się na szydełku i dopiero po zrobieniu pięciu sł. wszystkie zatrzymane oczka przerabia się jedną pentelką. Łańcuszek na zaczęcie rzędu następującego przyrabia się pojedynczym słupkiem do ścisłych o. rzędu poprzedzającego, a przy robocie sł. daje się w niego o. ścisłe. Model robiony był z włóczki czarnej do której na rzędy gwiazdkowe i do łańcuszków szlaku dodawana była czarna filozela.



N. 14—15. Koszula i majtki. Patrz ryc. 16—17.



N. 18. Tło wyszyte na kanwie.



N. 17. Oszycie do majtek rycina 15. Friwolitki i tasiemeczka w ząbki.

N. 7—9. Kaftaniczek szydełkowy.

Materyał: Włóczka czarna angielska i jedwab bronzowy kordonkowy

Kaftanik robi się wzdłuż tam i napowrót ściegiem karbowanym, któren w górze na plecach i przy przodach ozdobiony jest muszkami, w naturalnej wielkości podanemi na próbce rycina 9. Kaftanik zaczyna się od wykroju pachy na o. 25; w 32 rzędach początkowych ciągle co drugie obrobienie (więc w rzędach idących na powrót), robi się 2 o. w o. środkowe ażeby potrzebną formę nadać ramionom. Tutaj nadmienimy że miary i rozliczenie przez nas podane stosują się do osoby średniego wzrostu i figury, dla szczupłych lub dobrej tuszy trzeba je pasować podług formy i miary. Po zrobieniu dwóch początkowych rzędów liczących o. 25 i 26, chcąc otrzymać potrzebną długość przodów i pleców, na końcu 3 i 4 rzędu dodaje się po 9 nowych oczek 5 i 6 po 11, 7 i 8 po 13, 9 i 10 znów po 11, 11 i 12 po 9, a na końcu 13 i 14 po o. 50. Tak więc w 14-tem obrobieniu liczącem 7 karbek mamy wszystkich o. 238, liczba ta w dalszych 18-u obrobieniach powiększy się tylko o oczek 9, które będą przybrane na ramieniu. W pięciu ostatnich wzmiankowanych obrobieniach idących od ręki prawej do lewej, o 17 o. od oka środkowego za-



N. 19. Woreczek Pompadour.



N. 21. Tło i szlak złotem i srebrem, do sukien ubiorów kościelnych, poduszek i t. p. Patrz rycina 22.



N. 20. Woreczek Pompadour z haftem i koronką.



N. 22. Wykonanie haftu złotem do ryc. 21.



N. 23. Wykonanie haftu r. 33 w N. 49.



N. 24. Szlaczek wyszyty supełkam do ryciny 20.

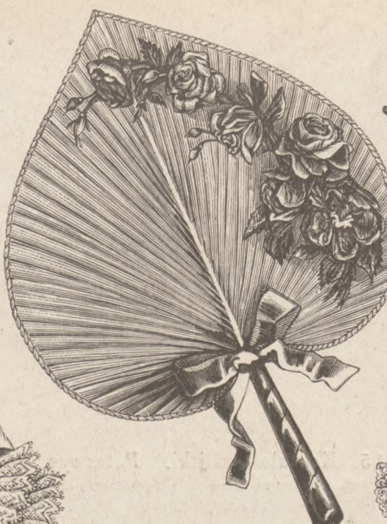


N. 25. Haft na kołnierzyk stojący.

czyna się rzucik stanowiący wyłożenie, do którego roboty dodaje się dla ozdoby, nitkę jedwabiu kordonkowego. Sposób roboty rzuciku wskazuje dokładnie próbka naturalnej wielkości rycina 9. Rzucik robi się w odstępach 6-iu oczek; w rzędzie pierwszym wypada 6 muszek, z których pomiędzy 3-ią i 4-tą robi się tylko 3 o. ścisłe, licząc w to jedno przybrane na ramieniu. W drugim rzędzie przybywa po 2 muszki z każdej strony ku brzegowi; w 3-im rzędzie (w 32 obrobieniu) przybywa 2 muszki z przodu a 1 na plecach. W dalszych rzędach na przodzie muszki robi się aż do dołu, a na plecach kończą się równo jak na rycinie 8, teraz także zaczyna się wykrój szyi a plecy i przody robią się oddzielnie. Długość pierwszych wynosi o. 116, które osiem razy obrabia się równo od dołu, nie dorabiając u góry po 1 o. w czterech do lewej ręki idących rzędach, poczem zaczyna się dolne rozszerzenie pleców, które w początkowych obrobieniach po o. 10 w 3 i 4 20, w 5 i 6 30 a w 7 i 8 40 o. następnie 2 razy obrabia się przez całą długość i znów u dołu 2 razy przez o. 39, dwa przez 28 dwa przez o. 16 i dwa przez całą długość. Następnie urywać nitkę i wykończać połowę pleców pod pachą zaczynając od dołu tam i napowrót przez o. 70; dalej na ćwikiełek 2 razy przez o. 9, dwa razy przez 19, 27 i 34, znów 2 razy przez długość o. 70, 2 przez 32, 24, 18 i 9, po których na wykończenie połowy pleców jeszcze 2 razy przez o. 70. (*d. n.*)



N. 27. Żabot z koronki i wstążki.



N. 26. Wachlarz ze świeżemi kwiatami.



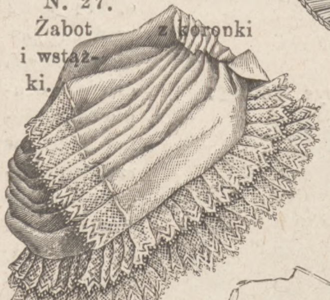
N.28. Kokarda z kwiatem do włosów i t. p.



N. 29. Gałązka kwiatów do głowy lub do żabotu.



N. 34. Czepeczek dla pań starszych. Patrz ryc. 35.



N. 32. Negliżyk z indyjskiego muślinu.



N. 33. Negliżyk jedwabny.



N. 36. Czepeczek dla młodej kobiety.



N. 30. Gałązka kwiatów do głowy lub do żabotu.



N. 35. Czepeczek dla osoby starszej. Patrz ryc. 34.



N. 31. Bukiecik związany szeroką wstążką, do głowy lub do żabotu.



N. 37. Ubranie wieczorowe z haftem złotym. Patrz rycina 38 i 21.



N. 38. Ubranie wieczorowe ze złotym haftem. Patrz ryciną 37.